

KULTURA *z* BIZNES[®]

Magazyn Kulturalno-Społeczny • Rok XVI • Nr 68 • Łódź, 2017 • ISSN 1644-4043 • Egzemplarz bezpłatny

Przyszłość należy do kultury, nie do polityki – Św. Jan Paweł II

W NUMERZE M.IN.: Piąty jubileuszowy Rubinstein Piano Festival, Pożegnania Lesława Kukawskiego, płk. Zbigniewa Makowieckiego, Grzegorza Królikiewicza, Jerzy Biernacki o twórczości poetyckiej Jarosława Marka Rymkiewicza, Wystawa prof. Andrzeja Mariana Bartczaka, Alina Rubinstein o ojcu Arturze Rubinsteinie, Straty wojenne Polaków, Recenzje książek i płyt

Polskie rocznice i święta

Na 100. rocznicę odzyskania niepodległości, 1918-2018, przypominamy najważniejsze dla Polski wydarzenia przełomowego listopada 1918 roku. Formalnie I wojna światowa trwała do 11 XI, wojna pomiędzy państwami ententy (18 państw ze Stanami Zjednoczonymi, Imperium Brytyjskim i Francją) a państwami centralnymi tj. Cesarstwem Niemieckim, Austro-Węgrami, Imperium Osmańskim i Bułgarią). Polska była pod okupacją niemiecką i austriacką, we Lwowie rozpoczęła się wojna Polaków z Ukraińcami o Lwów. W więzieniu w Magdeburgu od roku przebywał Józef Piłsudski i Kazimierz Sosnkowski. W Warszawie funkcjonowała trzyosobowa Rada Regencyjna, utworzyła rząd, przejęła dowództwo nad polskimi oddziałami wojsk okupacyjnych tj. Polską Siłą Zbrojną (PSZ – Polnische Wehrmacht).

– 4 XI, Austro-Węgry zawarły rozejm pokojowy, następuje koniec monarchii;

– 7 XI, w Lublinie powstał Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej z premierem Ignacym Daszyńskim (za kilka dni Piłsudski stwierdzi, że niepotrzebnie powołano ten rząd, że krępują mu ręce politycy np. I. Daszyński czy St. Thugutt), do Lublina Rada Regencyjna wysłała batalion PSZ, ale przeszedł on na stronę rządu lubelskiego;

– 8 XI, Niemcy w obliczu rewolucji (i ogólnie upadku starego świata), zwolnili z więzienia Piłsudskiego i Sosnkowskiego, przewieźli ich do Berlina i dalej do Warszawy;

– 9 XI, w Niemczech wybuchła rewolucja, powstała Republika Weimarska, cesarz Wilhelm II uciekł do Holandii;

– 10 XI, niedziela, godz. 7, Józef Piłsudski przyjechał jednowagonowym pociągami specjalnym na Dworzec Wiedeński w Warszawie, zaczyna prowadzić mnóstwo rozmów politycznych, w nocy przysłała do niego delegacja niemieckiej Rady Żołnierskiej (następca władz okupacyjnych tj. Generalnego Gubernatorstwa) prosząc o pomoc w bezpiecznym opuszczeniu terenów Polski. Otrzymali gwarancje bezpieczeństwa – choć pod pewnymi warunkami; na ulicach wielu miast rozbrajano już Niemców;

– 11 XI, oficjalny koniec I wojny światowej, podpisanie rozejmu pokojowego Niemiec z państwami ententy; połączono Polską Siłę Zbrojną z konspiracyjną POW, powstaje Wojsko Polskie;

– 12 XI, wśród wielu delegacji przychodzących do Piłsudskiego, pojawili się i Żydzi, przedstawiciele wielu ich partii i ugrupowań. Powołując się na wspólną 800-letnią historię wyrazili zaufanie do Piłsudskiego, mówili o swojej lojalności wobec Polski, żądali m.in. równych praw w obsadzaniu stanowisk w administracji, dotacji rządowych dla instytucji żydowskich, udziału ich przedstawicieli w rządzie, jedno z ugrupowań zaproponowało stworzenie wspólnego socjalistycznego rządu polsko-żydowskiego. Daszyński przekazał władzę rządu lubelskiego Piłsudskiemu a Warszawa nadała mu honorowe obywatelstwo;

– 14 XI, Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu władzę wojskową i naczelną dowództwo, rozwiązała się, oświadczaając: „Od tej chwili obowiązki nasze i odpowiedzialność względem narodu polskiego w Twoje ręce, Panie Naczelnny Dowódco, składamy do przekazania Rządowi Narodowemu”;

– 16 XI, Piłsudski jako Naczelnny Wódz wysłał do rządów zagranicznych depesze o powstaniu państwa polskiego – Polskiej Rzeczypospolitej Odnowionej i Niepodległej; po tygodniu dekretem rządu ogłoszono go: tymczasowym Naczelnikiem Państwa.

KULTURA



V Rubinstein Piano Festival

Jubileuszowy Międzynarodowy Festiwal Muzyczny im. Artura Rubinsteina „Rubinstein Piano Festival” odbywał się od 16 do 21 października 2017 roku, koncerty zagrano w Łodzi, Częstochowie, Wieluniu i Rawie Mazowieckiej. Organizatorem jubileuszowego festiwalu była w tym roku Fundacja Kultury i Biznesu przy współpracy z Międzynarodową Fundacją Muzyczną im. A. Rubinsteina. Obie fundacje zajmują się promocją kultury polskiej, nie prowadzą działalności gospodarczej, obu przewodniczy autor tego tekstu – Wojciech Stanisław Grochowski, wydawca,

publicysta, pomysłodawca i dyrektor festiwalu od pierwszej edycji; wcześniej przedsiębiorca. Pierwszy festiwal odbył się w 2008 roku, drugi w 2011, trzeci – 2013, czwarty – 2015.

Patronat honorowy nad V festiwalem objął Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda i Małżonka Prezydenta Agata Kornhauser-Duda, gośćmi honorowymi były córki Artura Rubinsteina – Ewa i Alina Rubinstein, obie panie mieszkają w Nowym Jorku.

O festiwalu czytaj na stronach 10-14

BIZNES

Hotele Ambassador

W centrum Łodzi stanął nowy czterogwiazdkowy hotel, nazywa się Hotel Ambassador Premium i należy do rodzinnej łódzkiej firmy Cegal Sp. j., państwa Cecylii i Kazimierza Gawlików. Jest to trzeci hotel w ich rodzinnej sieci, pierwszy Ambassador (trzygwiazdkowy) funkcjonuje od kilkunastu lat na Chojnach, drugi Ambassador-Centrum działa od 2010 r. przy al. Piłsudskiego i jest czterogwiazdkowy, zaś najnowszego Ambasadora otwarto we wrześniu 2017 r. Jest zlokalizowany przy zbiegu ulic Kilińskiego i Orlej, najwyższa jego część ma dziesięć pięter, jest połączony korytarzami z hotelem przy al. Piłsudskiego. Na poziomie IV piętra jest wspólny taras.

Nowy Ambassador dysponuje 205 pokojami: jedno i dwuosobowymi w tym de Lux, 18. apartamentami z aneksami kuchennymi, jednym apartamentem prezydenckim dwupoziomowym; łącznie może tu zamieszkać ok. 500 gości. Ceny są w nim nieco wyższe niż w Centrum, tam np. pokój jednoosobowy w tygodniu kosztuje 290 zł zaś w nowym obiekcie 330 zł. Hotel jest wyposażony w strefę SPA, basen, saunę, sale do gier sportowych, kępielnie, sala taneczna; jest w nim bar, restauracja mieszcząca do 350 gości. Posiada 18 sal konferencyjnych w tym jedną na 800 osób.



Hotel Ambassador Premium powstał w dużej mierze z wygranej przez inwestorów sprawy sądowej, Miasto po przegranej procesie (za bezzasadne blokowanie inwestycji z budową poprzedniego hotelu) w rozliczeniu przekazało firmie Cegal w drodze rekompensaty działkę w tym rejonie, gdzie stanął nowy hotel, pozostałe działki na którym powstał nowy obiekt były już w posiadaniu inwestora.

Łódzkie hotele liczą najbardziej na gości konferencyjnych, oni dominują – nie turyści.

Red.

Europa to stara pijaczka

Słowa te wypowiedział nasz wielki poeta Cyprian Kamil Norwid bodaj w 1882 roku. Wtedy Polski nie było na mapie Europy (i świata), zatem można domniemywać, że poeta Polaków wyłączył z tego towarzystwa. My walczyliśmy, aby wrócić – może nie do tej i nie do takiej Europy jaką opisał poeta, ale w ogóle na mapę.

Wróciliśmy w 1918 roku, w dużej mierze dzięki Ignacemu Janowi Paderewskiemu, Romanowi Dmowskiemu, no i oczywiście Józefowi Piłsudskiemu. W 2018 roku mamy obchodzić 100-lecie odzyskania niepodległości, powinno się dodawać, że po 125 latach zaborów, że 100-lecie odzyskanej na 21 lat niepodległości, że 100-lecie odzyskania niepodległości po przerwie w naszej państwowości. Wszak Polska nie istnieje od 1918 roku.

Ale wybiliśmy się znów na niepodległość, którą wyrąbywał Piłsudski. O nim powiedział prezydent prof. Ignacy Mościcki: „dał Polsce wolność, granice, moc i szacunek”. Na XX wiek – jak już pisałem w tym miejscu – Pan Bóg dał Polsce trzech wielkich i opatrnościowych mężów stanu: rycerza Józefa Piłsudskiego i później dwóch duchownych: Prymasa Tysiąclecia kardynała Stefana Wyszyńskiego i papieża św. Jana Pawła II. Ale trzymając się klimatu i rocznicy niepodległości, pamięci o Marszałku, obserwując obecne ataki na Polskę z... Europy (Unii Europejskiej), przypominam norwidowskie słowa.

Otóż widząc zagrożenia dla Europy ze strony Hitlera, w 1933 r. Piłsudski namawiał Anglię i Francję do zatrzymania go w tym niebezpiecznym rozwijającym się szaleństwie, namawiał do wywołania wojny prewencyjnej i odsunięcia Adolfa od władzy. Ale nasi „sojusznicy” nie posłuchali Marszałka, Niemcy się umacniali, nie tracili aktualności prorocze słowa poety:

„Europa jest to stara wariatka i pijaczka, która co kilka lat robi rzezie i mordy bez żadnego rezultatu ni cywilizacyjnego, ni moralnego. Nic postawić nie umie – głupia jak but, zarozumiała, pyszna i lekkomyślna (...)”.

Piłsudski powiedział w 1934 r.: „Nikomnie ufam, a co dopiero Niemcom. Muszę jednak grać, bo Zachód jest obecnie parszywieńki”.

Hitler czuł respekt przed Piłsudskim, mówił nawet: „Tylko Piłsudski jest politykiem godnym szacunku w Europie, w której panuje obłuda, tchórzostwo i brak decyzji mężów stanu kierujących zginiłymi demokracjami”.

A dziś? Nowy dyktator, Putin, przed kim czuje respekt? Robi on (czy Rosja – jeden czort) na świecie, a zwłaszcza w tzw. Eurazji, co chce. Rosjanie podbijają państwa, mordują ludzi, a Europa – czytaj Unia Europejska – na to wszystko słabo reaguje i milcząco przystaje! Gdyby na Zachodzie mieli honor, to Rosja pod obecnymi rządami nie powinna dostać organizacji tak dużego wydarzenia sportowego jak Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej w 2018 r. (przełknąwszy organizację Zimowych Igrzysk w Soczi w 2014 – po aneksji Krymu!). Ale jak już ktoś im dał tę imprezę, to żadna europejska drużyna nie powinna pojechać na te mistrzostwa. Bo miliarder Putin (majątek prywatny 200 mld dolarów!) ma w nosie sankcje Zachodu, bo zegarki za 400 tys. euro (jakie lubi) sami „Europejczycy” przywieźą mu w zębach, omijają te sankcje, a pomarańcze dowiozą z Kuby zamiast np. z Hiszpanii. Ale gdyby zwykli Rosjanie zobaczyli, że ta sportowa impreza z kopaniem piłki się nie udała, z internetu dowiedzieliby się dlaczego, skutek byłby oszałamiający, pękłby ten kolos na glinianych nogach od środka.

Wojciech Stanisław Grochowski

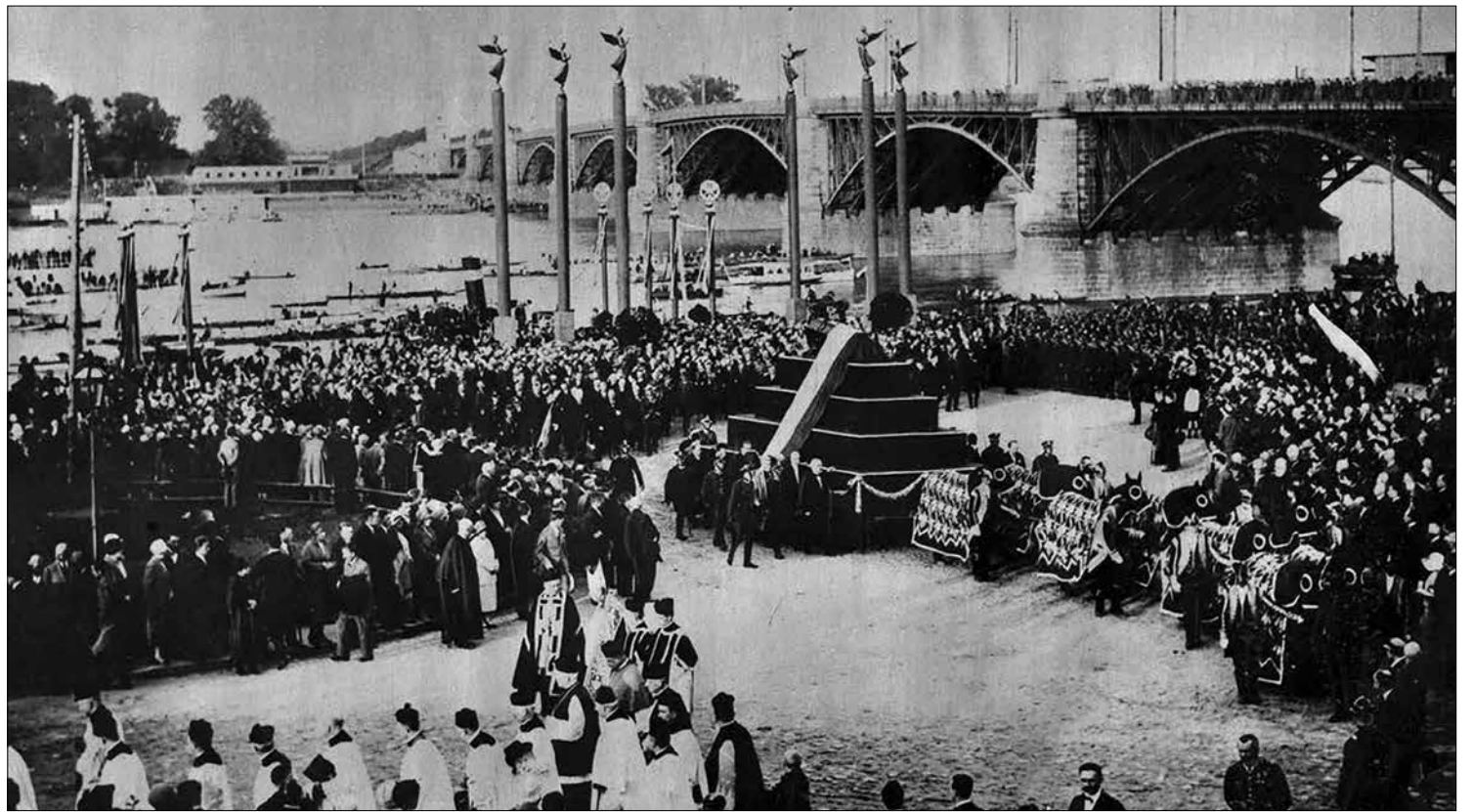
Rocznicowe foto

W 2017 roku minęła 90. rocznica sprowadzenia z Paryża do Warszawy prochów poety Juliusza Słowackiego (1809-1849); wieszcz żył tylko 40 lat, rok dłużej niż Chopin. Prochy Słowackiego ekshumowano 14 czerwca na cmentarzu Montmartre w Paryżu i złożono na Wawelu 28 czerwca 1927 roku. Decyzję o sprowadzeniu szczątków poety podjął Józef Piłsudski, trochę w tajemnicy, bez tworzenia jakichś komitetów, rad, organów, bez kłótni, dyskusji etc., etc.; rozdzielił pracę i kazał wykonać. Wtajemniczona Rada Ministrów i tak dyskutowała od września 1926 roku gdzie złożyć prochy Słowackiego, Piłsudski napisał list do abp. kard. Adama księcia Sapiehy, który z pewnymi oporami ale wyraził zgodę – jak powiedział – na ten ostatni pochówek na Wawelu.

Mahoniowa trumna z niewielką liczbą szczątków poety, transportowana była z Paryża drogą morską, przez Hel do Gdyni i Gdańska, następnie statkiem rzeczny „Mickiewicz” po Wiśle do Warszawy. Statek zatrzymywał się w kilku miastach, m.in. w Grudziądzu i Toruniu; wszędzie Polacy witali Słowackiego z wielkim entuzjazmem, orkiestrami, kwiatami, przemówieniami. W stolicy trumnę przewieziono w orszaku konnym do katedry Św. Jana. W trakcie krótkiego postoju orszaku na Placu Zamkowym, przemówił prezydent prof. Ignacy Mościcki, który powiedział:

„Poryw serdecznego wzruszenia, hołd jednomyślny tysięcy od Bałtyku do Karpat, od Wilii aż po rodzimą dla poety Ikwę, świadczy, że Naród cały w falcie odzyskania dla ziemi naszej najdosłowniejszych prochów widzi i czuje znamiona głębokiego znaczenia. Czynimy bowiem przede wszystkim akt sprawiedliwości w stosunku do wielkiego Człowieka, którego los wydał na tułaczkę, cierpienia, wygnanie i nędzę. (...) Chwałę Juliusza Słowackiego wplatamy jak najcenniejszy brylant w diadem polskiej chwały. Dumny jestem za mój Naród, idący w potężnym odruchu zbiorowego hołdu i stwierdzający tem samym (...), że bez czi dla wielkości nie ma potęgi państwa”.

Po nocnym czuwaniu w katedrze, porannej mszy świętej, trumnę koleją przetransportowano do Krakowa, tam wystawiona była w Barbakanie, gdzie również całą noc Polacy oddawali



Warszawa, 26 czerwca 1927, fot. internet

hołd wielkiemu pocie. Stąd, po porannej mszy świętej trumnę odprowadzono na Wawel. Tu na dziedzińcu, podczas uroczystości pogrzebowych przemówił pięknie marszałek Józef Piłsudski. Powiedział m.in.:

– „Są ludzie i są czyny ludzkie tak silne i tak potężne, że śmierć przewyciężają, że żyją i obcuja między nami. Słowacki, jak żywa prawda życia jest między nami. Wiemy o nim tyle, jak o żadnym ze swoich znajomych. W ten sposób prawa śmierci są przewyciężone. Z kilkunastu milionów Polaków, wśród których żył Słowacki – co z nich pozostało? Żył sto lat temu, trzy pokolenia, a gdy mówimy

o Słowackim, to spotykamy się z nim codziennie i z nim obcujemy. Jest więc żywy i żyje wśród nas i prawda śmierci okrutna, prawda śmierci potężna nie istnieje dla niego... Słowacki żyje dlatego, że umrzeć nie może. Zda się, jak gdyby bramy śmierci przepastne za nim zamknęły się nieszczelnie. Dla niektórych ludzi zostają one otwarte, tak że życie i śmierć się nie rozdziela. (...)

Słowacki (...) idzie między Władysławy i Zygmunty, idzie między Jany i Bolesławy, idzie nie z imieniem, lecz z nazwiskiem, świadcząc także o wielkości pracy i wielkości ducha Polski. Idzie, by przedłużyć swe życie, by być nie tylko

z naszym pokoleniem, lecz i z tymi, którzy nadejdą. Idzie jako Król Duch.

W imieniu rządu Rzeczypospolitej polecam panom odnieść trumnę do krypty królewskiej, by królom był równy”.

W trakcie ceremonii prochy Słowackiego spoczęły obok prochów Mickiewicza, odezwał się dzwon Zygmunta, huknęło 101 wystrzałów królewskich obwieszczając Miastu i światu przyjęcie poety na Wawel.

Wieczorem w Teatrze Starym Marszałek wydał okolicznościowy obiad, podczas którego kard. Sapieha siedział obok niego. WG

Pożegnanie kawalerzystów

W ostatnim czasie odeszło na wieczną wartę dwóch wybitnych znawców kawalerii konnej, śp. inż. Lesław Kukawski (1930-2016), lwowianin i śp. płk Zbigniew Makowiecki (1917-2017), z urodzenia warszawianin. Obaj Panowie trwale zapisali się także w moim życiu i pamięci, spotykaliśmy się w kawalerskim Grudziądzu na dorocznych Zjazdach Oficerów Kawalerii II RP. Zawiózł mnie tam mój – także nieżyjący już – przyjaciel ppłk Jerzy Urbankiewicz, ułan z cenzury, prymus rocznika 1934-1935 w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii. Jerzy jest autorem m.in. dwutomowej książki *Legenda jazdy polskiej*, której konsultantem był właśnie Pan Lesław Kukawski a ja wydawcą; obaj Panowie byli także autorami naszego czasopisma.

Pan Lesław – tak do niego mogłem się zwracać i tak chcę Go żegnać, to też już legenda jazdy polskiej. Jest autorem ważnej książki *Oddziały Kawalerii II Rzeczypospolitej* (2004), książek o orkiestrach i sztandarach pułkowych, monografi o ułanach jazłowieckich. Był autorem tekstów na tematy konne w wielu czasopismach, drukował całe cykle m.in. w „Przeglądzie Kawalerskim”. W swoim domu w Pańskiej Łasce koło Trzcianki Lubuskiej zgromadził wielką kolekcję kilkudziesięciu siodła wojskowych polskich i obcych z XX wieku, były tam także mundury wojskowe i pracowników Państwowych Stadnin Ogierów, szable, czapki, akcesoria jeździeckie, order, grafiki i obrazy o tematyce jeździeckiej i kawalerskiej, itp. Pan Kukawski był cenionym sędzią klasy państwowej Polskiego Związku Jeździeckiego, hodowcą koni, wieloletnim prezesem poznańskiego oddziału Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy. Wielki znawca kawalerii konnej.

Spotykaliśmy się także w Poznaniu na Dniach Ułana czyli święcie 15. Pułku Ułanów Poznańskich. Istnieje tam Towarzystwo Byłych Żołnierzy i Przyjaciół 15. Pułku Ułanów Poznańskich – którego mam honor być członkiem, a do którego należeli ww Panowie. Rozmowy z panem Kukawskim przy

okazji tworzenia *Legendy*... były czasem zabawne, zwłaszcza, że ilustracje wykonywał Szymon Kobylński a Panowie od lat mieli coś na pieńku artystycznie ze sobą. I tak np. znakomity rysownik koni Sz. Kobylński nie chciał uwzględnić wszystkich uwag znakomitego znawcy kawalerii L. Kukawskiego, ale ponieważ urwali ze sobą korespondencję więc za moim pośrednictwem klócili się o jakieś dyskle i wagi w taczankach, za długie włosy u jakiegoś wiarusa z Powstania Listopadowego czy inne ułańskie lub konne sprawy, a ja zaocznie ich godziłem by osiągnąć tzw. konsensus. Innym razem Jerzy prosił, abym spróbował przekonać p. Kukawskiego do zgody na zamieszczenie w *Legendzie*... dużego biogramu Bułak-Balachowicza... Hmm, ciekawe jak miałem to zrobić, pan Lesław uważał że nie, to nie! No ale dzięki Bogu udało się wszystko dokończyć; ciekawe, czy teraz razem na niebiańskich łąkach śmieją się z tego wszystkiego (?).

Na zdjęciu obok, panowie Kukawski i Urbankiewicz mają wesołe lica, bo przed chwilą – jakeśmy ustawiali się do zdjęcia – pan Lesław zażartował, że pan rotmistrz Urbankiewicz włosy sobie na dziś ufarbował, na co Jerzy od razu ripostował, że u pana Lesława też dziś widzi jakieś takie dużo czarniejsze niż ostatnio...

Druga zmarła Osoba, z którą miałem miły, wielokrotny i jakże pouczający kontakt w Grudziądzu, którą chcę pożegnać, to pan płk **Zbigniew Makowiecki**. Był absolwentem Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii rocznika 1935-1936, oficerem 1. Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, w Kampanii Wrześniowej oficer Pułku 3. Strzelców Konnych, walczył do końca, do Kocka, gdzie 6 X 1939 z powodu braku amunicji musieli się poddać. Wojnę spędził w kilku oflagach niemieckich.

Ponieważ Pan Makowiecki mieszkał po wojnie w Londynie, znał bardzo dobrze i przyjaźnił się Zuzanną Wieniawianką – córką gen. Bolesława Wieniawy-Długoszewskiego, znał Generała, a ja pisałem pierwszą książkę o Wieniawie, pracę dyplomową o nim na Uniwersytecie Warszawskim, zatem rozmowom i nagraniom wywiadów z Nim nie było

końca. Pewnego roku nawet mieszkaliśmy podczas zjazdu w jednym pokoju w bursie w Grudziądzu, wtedy pan Makowiecki opowiedział mi zdarzenie jego kolegi z oflagu, który to poszedł do stomatologa, a gdy przyszło do płacenia, kolega oficer powiedział niemieckiemu dentyście, żeby potraktował wizytę jako reklamację. Wyjaśnił mu, że sprawa złej plombki i uszkodzonego zęba ciągnie się u niego od I wojny, gdyż jakiś niemiecki dentysta na froncie zrobił fuszerkę, tamtemu wtedy zapłacił, ale potem reklamował, wojna się skończyła..., ale teraz nie ma zamiaru płacić drugi raz i traktuje to jako reklamację! Niemiec odpowiedział, że sprawdzi, i za dwa tygodnie powiedział mu, że była taka sytuacja, wszystko się zgadza i uznaje reklamację.

Pan Makowiecki był gawędziarzem, pięknie i ciekawie opowiadał; jak każdy oficer kawalerii był bardzo elegancki i szarmancki wobec pań, zawsze z poczuciem humoru. Ot na przykład... któregoś sierpniowego dnia i roku siedzieliśmy z panem (wtedy) rotmistrzem Makowieckim przed bursą na ławeczce w Grudziądzu w męskim gronie, słuchaliśmy jego opowieści, co jakiś czas wybuchając śmiechem, zatem jedna z pań odeszła od grupy kobiet stojących nieco dalej i podeszła do

nas chcąc się przyłączyć do wesołej kompanii. Gdy podeszła, nasze rozmowy ucichły nieco, wstaliśmy wszyscy, gdy nagle pan Makowiecki – już stojąc przed naszą nową koleżanką, zapytał:

– czy ja już dziś całowałem Panią?

Kobieta nieco zaskoczona, niepewna jakiej udzielić odpowiedzi, bardzo lekko speszona – słowem skonfundowana, odpowiada wreszcie – a raczej entuzjastycznie krzyczy: Nie!

No więc pan Rotmistrz ucałował panią w oba policzki, przepaszając między jednym a drugim za przeoczenie.

Pan Makowiecki przywiózł do Grudziądza wiele pamiątek kawalerskich, przekazywał własne zbiory, przywoził darowizny pamiątek od wspomnianej pani Zuzanny Długoszewskiej (po mężu Vernon) w tym buzdycan jakiś gen. Wieniawa otrzymał od 1. Pułku Szwoleżerów gdy odchodził z pułku do innej służby.

Był wiernym miłośnikiem i przyjacielem Grudziądza; Jego prochy pochowano w: Londynie, Warszawie i Grudziądzu.

Wojciech Stanisław Grochowski



Poznań, Dni Ułana 1999, od prawej: Lesław Kukawski, Jerzy Urbankiewicz, Wojciech St. Grochowski

Pożegnanie Grzegorza Królikiewicza

Zmarł prof. Grzegorz Królikiewicz (1939-2017): reżyser i scenarzysta, animator kultury, były dyrektor Teatru Nowego w Łodzi – wieloletni wykładowca Szkoły Filmowej w Łodzi (PWSFTViT), profesor sztuk filmowych (1993). Odszedł nagle 21 września w wieku 78 lat, został pochowany na Starym Cmentarzu w Łodzi przy ul. Ogrodowej w części ewangelickiej, mszę świętą żałobną w kościele jezuitów odprawił ks. bp Adam Lepa.

Pan Grzegorz był też autorem „Kultury i Biznesu”, był bohaterem tzw. rozkładówki numeru 22/2005, duży wywiad z Nim przeprowadziła wtedy Temida Stankiewicz-Podhorecka. Pamiętam Go jako artystę, patriotę, nauczyciela. Prof. Królikiewicz napisał też wiele książek o teorii kina; przemawiając i rozmawiając, przykuwał uwagę słuchaczy.

Zachodzi niestety coraz częściej potrzeba pisanie pożegnań znajomych i bliskich mi ludzi, ważnych dla mnie także jako dla wydawcy i redaktora. Często mamy wyrzuty sumienia z niedosytu kontaktów, odwiekiania zaległych spotkań i rozmów, gdy nagle dowiadujemy się, że nasz przyjaciel, kolega czy znajomy odszedł na wieczną wartę; że już nie zdążymy wypić wspólnie kawy czy lampki wina, zadać jakiegoś pytania, porozmawiać, czasami może przeprosić za coś. Przychodzi tu na myśl wiersz ks. Twardowskiego: „Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”.

Moje wspomnienia dot. Pana Grzegorza oscylują wokół trzech zagadnień: kultury, Jego aktywności społecznej – myślę np. o prowadzonym Klubie Myśli Społecznej im. A. Frycza-Modrzewskiego, wreszcie luźnych kontaktów osobistych,

spotkań i rozmów – czasami w Opus Dei. Pan Grzegorz należał do tych Osób, z którymi stawaliśmy w kilkuosobowych grupkach pod architekturą łódzką po zakończonych nabożeństwach. Było to w trakcie uroczystości ważnych świąt bo w dniach: 3 Maja, 15 Sierpnia czy 11 Listopada. Wymienialiśmy poglądy i opinie na wiele ważnych tematów, w końcu lat 90. np. wiodącym tematem byli żołnierze wyklęci, panowie zakładali Fundację „Polska się upomni”. Prym wiedli i „ściągali” mnie do siebie śp.: mec. Karol Głogowski, Andrzej Kern, Mieczysław Malczyk, Jerzy Scheur, Grzegorz Królikiewicz czy Longin Chlebow-ski. Przyjęcie nas, młodszych i można rzec wtedy żółto-dziobów do „kółka” było wyróżnieniem.

Miałem to szczęście i zaszczyt poznać Panów, słuchać ich, uczyć się, bywać u Nich w domach, znać Ich rodziny – Pana Grzegorza także.

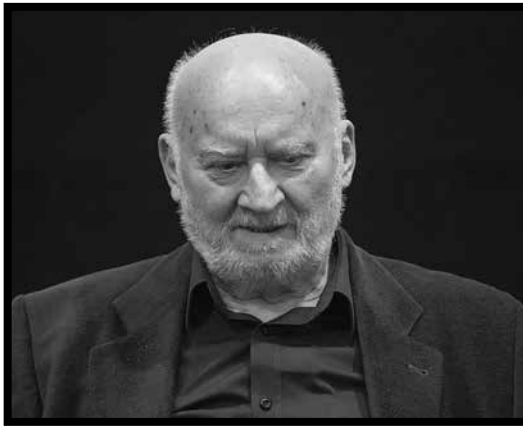
Znane są zapewne czytelnikowi tytuły kilkunastu filmów dokumentalnych i bodaj dziesięciu fabularnych Profesora, kilkunastu spektakli telewizyjnych i teatralnych, spektakli teatru telewizji, widowisk jak słynne 3 Maja

z 1976 r.; inscenizacji *Anhelli* wg J. Słowackiego czy *Fausta* wg J.W. Goethego. Przypomnę tylko, że Jego debiutem filmowym fabularnym był film *Na wylot* (1972), że za film *Przypadek Pekosińskiego* (1993) zebrał wiele nagród w tym „Złote Lwy” – jest to film wg opowiadania znakomitego reportażysty Romualda Karasia pt. *Nazywam się Pekosiński* (czytaj dalej recenzję z książki tego autora o mjr. Sucharskim). Znany jest wszyst-

kim *Tańczący jastrzęb* ze zdjęciami zdobywcy Oscara Zb. Rybczyńskiego, no i ostatni film *Sąsiady* z 2015 roku, do którego obok znanej aktorki Anny Muchy zaangażował ambitnego sportowca Mariusza Pudzianowskiego z Białej Rawskiej w pow. rawskim. Ten rawski strongman imponował p. Grzegorzowi: jego kariera, poznanie i odkrywanie świata dla siebie, edukacja i studia w dorosłym życiu, przedsiębiorczość; dużo

rozmawialiśmy o tym.

Moje osobiste bliższe kontakty i obserwacje tyczą się Jego aktywności od końca XX a pocz. XXI wieku, szefowania Teatrowi Nowemu w Łodzi (2003-2005), udziale i opisywaniu jego produkcji dużych widowisk charytatywnych w hali sportowej pod tytułem *Okaż serce* za prezydentury Jerzego



Grzegorz Królikiewicz, fot. Wojciech Stróżyk/Reporter

Kropiwnickiego, realizacji filmu *Kern* z 2009 r. Obraz o znanym łódzkim adwokacie, pośle i wice-marszałku Sejmiku I kadencji, Człowieku okrutnie doświadczonemu przez... los (?). Ten film, podobnie jak również ceniony przeze mnie film o Józefie Kurasiu „Ogniu”, żołnierzu wyklętym – niepokoi mnie, chciałem go obejrzeć w dobrej kopii, pożyczyć DVD od reżysera, ale nie udało się. Bardzo interesowały mnie i interesują jako historyka, przypadki zachowań ludności wiejskiej wobec żołnierzy wyklętych, wobec NSZ; pytam przez telefon: Panie Profesorze, jak do tych ludzi trafić żeby się otworzyli i chcieli rozmawiać, odpowiadali na pytania, zaufali mi, jak Pan to robił? Trochę naiwnie widać podszedłem do zagadnienia bo w odpowiedzi usłyszałem po namyśle: musi pan sam do tego dojść, znaleźć klucz, mnie to zajęło trochę czasu.

A wspomnianego pana mecenas A. Kerna znałem osobiście i bardzo ceniłem sobie tę znajomość, bezinteresownie pomagał mi czasem w sprawach fundacji. Widziałem ten film o Nim dwa razy ale gdy poprosiłem o płytę DVD, autorską, pan Grzegorz powiedział, że mi nie da! Zaprasza mnie do siebie, obejrzymy wspólnie, ale nie daje płyt. Nabrałem głęboko powietrza zanim... powiedziałem OK. Nie zdążyłem umówić się na wspólną projekcję. Było to właśnie wychowawcze, pedagogiczne zachowanie pana Profesora; żadnej łatwizny, żadnych skrótów, spotykamy się i rozmawiamy, myślimy, a potem poprawiamy ew. wspólnie świat!

Niech aniołowie zawiódą Cię do rajów.

Wojciech Stanisław Grochowski

Lesław Kukawski

– najwybitniejszy znawca historii polskiej kawalerii

Inż. Lesław Kukawski urodził się 7 kwietnia 1930 roku we Lwowie. Jako mały chłopiec zachwyił się pięknymi ułanami z 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, których często oglądał podczas defilad i wielu przejazdów przez miasto. Po wojnie ukończył Wydział Rolniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Specjalizował się w hodowli koni. Na zainteresowanie wojskiem i historią niewątpliwie miał także wpływ wpajany mu w domu kult dla tradycji narodowych i przywiązanie do rodzinnej tradycji niepodległościowej. Jego największą pasją była jednak polska kawaleria, której poświęcił niemal całe życie.

Aktywnie działał w Stowarzyszeniu Miłośników Dawnej Broni i Barwy, był jego członkiem honorowym. Lesław Kukawski jest autorem wielu publikacji o tematyce kawaleryjskiej, wielu wystaw, przygotowanych z bogatych zbiorów własnych i kolegów. Od 1991 roku był członkiem Rady Fundacji na Rzecz Tradycji Jazdy Polskiej w Grudziądzu, społecznym konsultantem wielu ekspozycji i publikacji dot. polskiej kawalerii. Był członkiem Polskiego Związku Jeździeckiego, a także kół pułkowych i stowarzyszeń kawaleryjskich. Przez wiele lat współpracował z kawaleryjskimi oddziałami ochotniczymi, które dziedziczą tradycje poszczególnych pułków kawaleryjskich II Rzeczypospolitej Polskiej, z muzeami – wypożyczając swoje cenne zbiory na wystawy czasowe i różnorodne pokazy. Opracowywał i wydawał katalogi do swoich wystaw, pisał przedmowy i wstępy do wielu opracowań o tematyce jeździeckiej i kawaleryjskiej. Był niestrudzonym instruktorem jazdy konnej, sędzią jeździeckim i konsultantem wszystkich większych wydarzeń plenerych. Niezwykle cenne zbiory prywatne udostępniał także w celu popularyzacji wiedzy historycznej na licznych ekspozycjach w całym kraju. Służył swoją wiedzą młodzieży, a także studentom pisząc różnorodne prace o tematyce kawaleryjskiej. Jest autorem m.in. publikacji: *Ułani Jazłowieccy. Barwa i broń 1918–1998* (wyd. 2001), *Oddziały Kawalerii II Rzeczypospolitej Polskiej* (2004 r.), *Konne mistrzostwa Wojska Polskiego w II Rzeczypospolitej* (2006), *Konie 15. Pułku Ułanów Poznańskich* (2007), *Sztandary Kawalerii Polskiej XX wieku* (2009), *Zarys dziejów Pułku 3. Strzelców Konnych 1922–1939* (2009), jest współautorem książki *O kawalerii polskiej XX wieku* (1991)

i monografii *Kawaleryjska Alma Mater w Grudziądzu 1920–1939* (2008), która jest kompendium wiedzy o Centrum Wyszkoła Kwalarii. W latach 2012–2014 wydano 60 tomów *Wielkiej Księgi Kawalerii Polskiej 1918–1939*, w których prawie wszystkie teksty dot. aspektów historycznych poszczególnych pułków kawalerii napisał Lesław Kukawski. Większość fotografii zamieszczonych w tej pomnikowej publikacji pochodzi z Jego prywatnych zbiorów.

Kiedy Grudziądz w 1989 roku po raz pierwszy po II wojnie światowej witał absolwentów Centrum Wyszkoła Kwalarii – nie mogło zabraknąć na tym historycznym I Zjeździe Lesława Kukawskiego. Od tamtego roku przyjeżdżał prawie na wszystkie Zjazdy Kawalerzystów II RP. Ostatni raz był na Spotkaniu w 2015 roku.

Lesław Kukawski był niekwestionowanym autorytetem dla wszystkich środowisk kawaleryjskich. W dowód uznania kilka kół pułkowych kawalerii II Rzeczypospolitej przyznało mu prawo noszenia swoich odznak. Są to 2. Pułk Szwoleżerów Rokitańskich, 3. Pułk Ułanów Śląskich, 9. Pułk Ułanów Małopolskich, 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich, Pułk 3. Strzelców Konnych. Otrzymał także odznaki jednostek Wojska Polskiego, które dziedziczą tradycje Polskiej Kawalerii: 27. Zmechanizowany Pułk Ułanów im. Króla Stefana Batorego, 4. Suwalska Brygada Kawalerii Pancernej im. gen. bryg. Zygmunta Podhorskiego i 6. Brygada Kawalerii Pancernej im. gen. bryg. Konstantego Plisowskiego. Jednostki te zostały rozformowane.

Lesław Kukawski zmarł 10 lutego 2016 roku.

Odszedł patriota, wielki przyjaciel Fundacji i Grudziądz, niestrudzony w propagowaniu tradycji Polskiej Kawalerii, broni dla której poświę-

cił wiele lat swojego pracowitego życia. Bardzo będzie nam Go brakowało.

Śp. Lesław Kukawski odznaczony był: Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Pro Memoria i Pro Patria, Odznaką „Zasłużony Pracownik Rolnictwa”, Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej”, Złotą Honorową Odznaką Polskiego Związku Jeździeckiego, Wielką Złotą Honorową Odznaką Polskiego Związku Jeździeckiego, Odznaką Honorową Fundacji na Rzecz Tradycji Jazdy Polskiej.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się na cmentarzu komunalnym w Trzciance Lubuskiej. W kaplicy cmentarnej odprawiono Mszę św. żałobną koncelebrowaną, której przewodniczył ks. Stanisław Strycharczyk, kapelan Kieleckiego Ochotniczego Szwadronu Kawalerii im. 13. Pułku Ułanów Wileńskich. Koncelebransami byli: ks. Andrzej Żółtyński, proboszcz kościoła pw. Matki Bożej Saletyńskiej w Trzciance Lub. oraz kapelan Szwadronu Ochotniczego Kawalerii im. 3. Pułku Ułanów. Wartę honorową przy trumnie zmarłego wystawił Szwadron Kawalerii Wojska Polskiego. Wokół kaplicy ustawiło się – na czele z pocztem proporcowym Szwadronu Kawalerii WP – 28 pocztów sztandarowych i proporcowych kawalerii ochotniczej z całego kraju oraz dziesiątki delegacji z wienkami. W pogrzebie, obok najbliższej rodziny Zmarłego, uczestniczyli przedstawiciele miejscowego samorządu, z burmistrzem p. Krzysztofem Czarneckim, harcerze, młodzież szkolna, liczni mieszkańcy Trzcianki i okolic. Były delegacje kół i stowarzyszeń kawaleryjskich, a także przyjaciele i przedstawiciele Polskiego Związku Jeździeckiego oraz stadnin koni z całego kraju. Grudziądz reprezentowali: mjr Andrzej Makowski, wiceprzewodniczący Rady Fundacji, Anna Wajler, starszy kustosz Muzeum im. ks. Wł. Łęgi, Rafał Chylewski, dyr. Szkoły Podstawowej nr 16 i Karola Skowrońska, przewodnicząca Zarządu Fundacji. Kondukt pogrzebowy prowadzili konno ułani w barwach 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, za konduktem prowadzono konia, okrytego kirem.

Śp. Lesława Kukawskiego żegnali m.in.: Edward Joachimiak – przewodniczący Rady Miejskiej Trzcianki, Tadeusz Jeziorowski – honorowy prezes Byłych Żołnierzy i Przyjaciół 15. Pułku Ułanów Poznańskich, Karola Skowrońska, płk Juliusz Tym, rtm. kaw. och. Tadeusz Kühn – prezes Federacji Kawalerii Ochotniczej, rtm. kaw. och. Dariusz Waligórski, Tomasz Dudek – prezes Stowarzyszenia „Bitwa pod Komarowem”. Mogiłę pokryły niezliczone wienki i kwiaty.

Śp. Lesław Kukawski odszedł, ale dzieło Jego nie zostanie nigdy zapomniane.

Karola Skowrońska

Epitafium – śp. Lesławowi Kukawskiemu

A kiedy wykopią mi grób,
niechaj nie będzie głęboki,
Koledzy niech staną w krąg,
niech błysną barwne otoki.
A z dziewcząt, które znałem,
niech przyjdą te ładniejsze,
Miast długich nad trumną mów,
wspomnijcie chwile weselsze.
Od dziś na wszystko mam czas,
odpuście więc pochlebstw peany,
Bym mógł na niebieskich błoniach,
paść konie me i barany.
W koszarach anielskich ułanów,
przełgdnę mundury i bronie,
Posprawdzam czy wszystko w ordynku,
czy sprawnie siodła stroczone.
Pokręcę się pośród wiarusów,
popytam jak wojowali,
Czy prawda jest w moich książkach,
ileśmy „pozamieniali”?
Czasami was też zlustрую,
lecz wiecznie nie będę tak siedział,
Więc nie gderajcie co chwilę
„cóż Lesław by na to powiedział”!
Już lepiej wspomnijcie wesoło,
z wieczora, gdy szklanki zadźwięczą.
Wszakże ja na Pańskiej Łasce
żyłem na długo przed śmiercią.
Tak wielu dzisiaj was przyszło,
by znaleźć ślad mego życia.
Więc wam nie mówię „żegnajcie”,
lecz tylko „do-zobaczenia”...

Napisał Michał Andrzejak

Szyld, wizerunek a kwestia smaku

Na dobrze znanym wszystkim łodzianom budynku przy ul. Narutowicza 20/22, na kiczowatej, bo niezgodnej z projektem architektonicznym Romualda Loeglera fasadzie, widnieje szyld o treści szlachetnej: Filharmonia Łódzka im. Artura Rubinsteina.

Kilka lat temu, 1. października, czyli w Międzynarodowym Dniu Muzyki, na tejże fasadzie eksponowana była dużej wielkości reklama koncertu Krzysztofa Krawczyka. Nic nie mam przeciw temu piosenkarzowi, czy jednak miejsce (a może i czas) na promocję jego osoby były najwłaściwsze? Plakaty zapowiadające imprezy komercyjne prawie zawsze znajdują się zresztą za szybą wspomnianego obiektu. Mocno anonsowany jest m.in. sylwester. Rok 2018 będzie można powitać w filharmonii poddając się i tym razem urokom roztaczanym przez byłą współpracowniczkę SB, która imprezę poprowadzi.

Ogólnie można zauważyć, że szyld i logo Filharmonii pojawiają się w rozmaitych kontekstach. W odbywającej się niedawno, 20. edycji Ogólnopolskiego Festiwalu Chóralnego Cantio Lodziensis wziął udział, firmowany przez Filharmonię Łódzką, Chór dla (Nie)opornych. Poziom Cantio Lodziensis był wysoki, ale tej akurat formacji raczej nie dało się słuchać. Oczywiście, w przeciwieństwie do śpiewa-

jących amatorów, orkiestra filharmoniczna swoimi występami na ogół cieszy ucho. Gra dobrze, niekiedy bardzo dobrze, tyle tylko, że dzisiaj – zupełnie tak samo, jak i dawniej – już po kilku taktach orkiestrowych produkcji słyszy się, że to właśnie zespół łódzki, a nie na przykład NOSPR. Krucho jest w ostatnim okresie w „szklanym gmachu” z zagranicznymi solistami, dyrygentami, jak i gościnnie występującymi w Łodzi orkiestrami. Filharmonicy chyba nie lubią nagrywać płyt, nie słyszą również o jakimś liczącym się tournée.

Na koncerty symfoniczne słuchaczy przychodzi wciąż sporo. Pomijam, że nierzadko jest to „nowa publiczność” niewylączająca po wejściu do „świątyni sztuki” telefonów komórkowych i bijąca brawo po częściach symfonii. Tak czy inaczej to dobrze, że ta publiczność w ogóle jest. Lecz jak będzie w przyszłości? Dyrektor naczelny Tomasz Bęben z niezrozumiałych powodów definitywnie zastopował akcję prowadzonych dawniej przez filharmonię, comiesięcznych, umuzykalniających koncertów odbywających się w kilkudziesięciu szkołach Łodzi i regionu. Akcja stanowiła rozpoczęte niedługo po zakończeniu wojny i niezmiennie cieszące się uznaniem uczniów oraz nauczycieli działanie ukierunkowane na przygotowanie młodzieży do odbioru muzyki poważnej, zarazem reklamujące łódzką placówkę. Ze względu na symboliczne honoraria

dla artystów miało to działanie charakter w gruncie rzeczy samofinansujący się. Czy w związku z tym, że wychowanie muzyczne jako przedmiot nauczania w szkołach prawie nie istnieje, słuchaczy koncertowych kiedyś nie zabraknie? To, co się obecnie próbuje robić we wspomnianej dziedzinie w siedzibie orkiestry ma już zasięg i oddziaływanie niewielkie.

Ale dyrekcja na zapas się nie martwi, żyje chwilą obecną i szczyty się m.in. festiwalem Kolory Polski. Jednak ów festiwal do dziś nie dorobił się czytelnej koncepcji artystycznej (a przemyślana koncepcja stanowi podstawowy miernik wartości tego typu przedsięwzięć). Wyróżnikiem Kolorów Polski jest aspekt pozamuzyczny, turystyczny, polegający na wyjazdach autokarami „w teren”. Mogłoby być więc organizować nawet biuro turystyczne angażując chcących dorobić sobie latem wykonawców reprezentujących różne, nieraz bardzo odległe od siebie nurty, albo wręcz koordynując lokalne, rodzące się w poszczególnych miejscowościach regionu, inicjatywy.

I jeszcze jedno. Umieszczone w tytule niniejszego tekstu słowo „szyld” rodzi dodatkowe konotacje, związane z relacjami instytucji z innymi podmiotami, m.in. tam, gdzie chodzić może o wzbogacenie wizerunku kosztem cudzych dokonań. Wojciech Grochowski, twórca i organizator Rubinstein Piano Festival, powiedział mi:

– dyrektor Bęben po prostu podkradał mi w 2017 r. festiwalowy koncert z Włochem Collim pisząc, że to jest jego (filharmonii) wydarzenie, wprowadzając także w błąd, że to koncert finałowy Festiwalu Rubinsteina. Nikt mu nie dawał zgody na używanie nazwy organizowanej przeze mnie imprezy ani wymieniania nazwisk zakontraktowanych i opłaconych przeze mnie pianistów. Poza tym filharmonia przywłaszczyła sobie zdjęcia z tego koncertu, za które zapłaciłem i opublikowała je na swoim facebooku jako własne i z własnej imprezy. Mam wszystko udokumentowane, interweniowałem u marszałka województwa i dyrektora Departamentu Kultury w Urzędzie Marszałkowskim.

Sprawa trochę nieprzyjemna, skądinąd ciekawa, gdzie dyrekcja filharmonii znajduje dla siebie wzorce etyczne. Tego nie wiemy, ale wspomnę o intensywnym promowaniu przez Filharmonię Łódzką „Gazety Wyborczej”, której umożliwiono swego czasu urządzenie w siedzibie orkiestry czegoś na kształt festynu, ba, nawet konferencji prasowe Filharmonii odbywały się pod umieszczonym w sali konferencyjnej szyldem tejże gazety.

Nikt nie oczekuje od dyr. Bębna, że będzie promować „Gazetę Polską” – a na jej temat pozwolił sobie na złośliwą uwagę podczas jednej z konferencji, siedząc pod wielką winietą „Wyborczej”. Trudno natomiast, mając na względzie to, co powyżej, oprzeć się skojarzeniu z wierszem Herberta dotyczącym subtelnej kwestii smaku...

Janusz Janyst

Pomnik Rzeź Wołyńska



Pomnik jest monumentalnym dziełem dedykowanym Ofiarom Rzezi Wołyńskiej, dokonanej na polskich obywatelach przez ukraińskich nacjonalistów w 1943 r. Jest autorstwa znakomitego polskiego rzeźbiarza Andrzeja Pityńskiego (1947); jest darem dla Polski sfinansowanym przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce (Okręg nr 2) i z drobnych składek ludzi dobrej woli. Wykonany został na 75. rocznicę Rzezi (11 VII 2018 r.), ma stanąć w Toruniu w Parku Pamięci Narodowej.

Dzieło jest bardzo wymowne i wstrząsające, odlane w brązie. W centralnym miejscu artysta umieścił dziecko nadziane na tryzub – widły ukraińskie, tak zginęło wówczas kilka tysięcy polskich dzieci.

Inne duże i znane realizacje tego artysty to m.in.: Pomnik Katyński w New Jersey (postać żołnierza polskiego z września 1939 r. z bagnietem wbitym w plecy), pomnik Partyzanci I (w Bostonie, partyzanci antykomunistyczni na koniach), Pomnik Czynu Zbrojnego Polonii Amerykańskiej (w Warszawie, pomnik Błękitnej Armii), Mściciel (w Doylestown, w Amerykańskiej Częstochowie). WG

Koncerty Niepodległościowe

Od lat Fundacja Kultury i Biznesu organizuje w Łodzi w przeddzień Święta Niepodległości spotkania patriotyczne z młodzieżą, capstrzyk pod pomnikiem marszałka J. Piłsudskiego, Koncert Niepodległościowy w: Teatrze Wielkim, Teatrze Muzycznym, Filharmonii Łódzkiej i in. Miejsce galowego koncertu – tak jak liczba i ranga zaproszonych artystów – zależą od posiadanych środków, od dotacji samorządowych, ministerialnych czy NCK. Koncerty cieszyły się b. dużym powodzeniem, były dobrze pomyślane i organizowane.

W 2017 r. fundacja nie otrzymała na Koncert żadnej pomocy, znikąd! Dlatego go nie zorganizowała, był tylko capstrzyk. Ale „koledzy” zorganizowali taki koncert w grudniu w Teatrze Muzycznym – nawet nie zaprosili nas!

Na 2018 r., 100-lecie odzyskania niepodległości, zaplanowaliśmy: capstrzyk, koncerty, wystawy, wydanie książki o gen. Wieniawie, także wydarzenia w Nowym Jorku, New Jersey i Filadelfii (pt. „Paderewski, Wieniawa, Rubinstein – dla Polski wszystko!”). Składamy wnioski o finansowanie prezydenta miasta Łodzi, marszałka, ministra kultury, NCK, MON, oczekując uznania wreszcie moich patriotycznych przekonań i dokonań.

W. Grochowski



O łódzkich konferencjach medialnych

W latach 2007-2016 odbyło się w gmachu Seminarium Duchownego w Łodzi dziesięć ogólnopolskich konferencji medialnych pod wspólnym hasłem *Dziennikarz między prawdą a kłamstwem*. Zorganizował je Łódzki Oddział Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy, którego przewodniczącym jest red. Zygmunt Chabowski.

Podczas konferencyjnej dekady wygłoszonych zostało około 110 wykładów i referatów koncentrujących się wokół takich zagadnień ogólnych, jak *Destrukcja tożsamości*, *W obronie godności*, *Granice kompromisu*, *Ku czemu zmierza globalizacja*, *Kościół w przestrzeni publicznej*, *Pamięć i tożsamość Polaków – dziś*. Dokonano wspólnie kompleksowej, politologiczno-socjologiczno-kulturoznawczej analizy kondycji polskiego państwa od momentu tzw. transformacji do połowy bieżącego dziesięciolecia, przyjrano się zarazem stanowi świadomości społeczeństwa – obie kwestie ujęte zostały zresztą na tle sytuacji w Europie.

Łódzkie zgrupowania przyniosły konstatację o sporym ciężarze gatunkowym, w większości wszakże nienapawające optymizmem. Wystarczy wspomnieć o destrukcyjnych skutkach prowadzonej przez środowiska lewicowo-liberalne walki z narodową tożsamością, tradycją, religią, kościołem, rodziną. Narzucaniu fałszywego obrazu rzeczywistości służyła (i wciąż służy) medialna manipulacja publikatorów mainstreamowych, której poświęcono wiele uwagi.

Podsumowaniu łódzkich konferencji poświęcona została, wydana przez AKME, książka Janusza Janysta pt. *Dziennikarz między prawdą a kłamstwem. Panorama myśli społeczno-politycznej*. Składa się na nią 11 rozdziałów omawiających wszystkie konferencyjne wystąpienia – zarówno świeckich, jak i duchownych naukowców oraz publicystów. Czyta się tę książkę bardzo dobrze. Autor uzyskał narracyjną płynność dzięki niezależnemu często od programów poszczególnych sesji uszeregowaniu tekstów (programy każdej edycji zostały zresztą przytoczone), ważniejsza wszelako wydaje się odpowiednia „obróbką” językowo-stylistyczna i sprowadzenie wszystkich tekstów do mniej więcej jednakowych, „fietonowych” rozmiarów.

Janyst, który wszystkie konferencje relacjonował wcześniej w prasie, trzykrotnie był też jednym z panelistów wykorzystujących tzw. głos gwarantowany, a więc wygłaszających referat.



Zajął się wówczas kulturą rozumianą jako stan subiektywny, świadczący o dążności człowieka do wyższej i szlachetniejszej formy egzystencji, także globalizacją w sztuce i oderwaniem się twórczości od aksjologicznych korzeni. Jego zdaniem: – *do miana dzieła artystycznego może pretendować dziś cokolwiek, na co tylko artysta zechce łaskawie wskazać. Do wszystkich obszarów twórczości wkroczył kicz, stając się z jednej strony świadomie eksploatowanym, „postmodernistycznym” środkiem wypowiedzi, z drugiej zaś plagą komercyjnej rzeczywistości audiowizualnej. W różnych dziedzinach pojawia się pseudoartystyczna hochsztaplerka, niekiedy są to zwykłe ekscesy i wybryki. Często mają one charakter antyreligijny, a należałoby powiedzieć dokładniej – antychrześcijański.*

Autor w swej pracy nawiązuje również do powstałych w trakcie konferencyjnej dekady książek napisanych i opublikowanych przez uczestników łódzkich sesji, m.in. Stanisława Michalkiewicza, Mariana Miszańskiego, Bronisława Wildsteina, zmarłego ostatnio prof. Bogusława Wolniewicza, Rafała Ziemkiewicza, prof. Andrzeja Zybortowicza.

Dodatkiem są solidnie opracowane notki biograficzne wszystkich wykładawców, a także wkładki ze zdjęciami, które autor wykonał na konferencjach.

Hanna Gudzinowicz

Głowę trzeba nosić wysoko

Stara prawda, można rzecz. Ale ilu z nas potrafi nosić głowę wysoko przez całe życie, nie zważając na okoliczności i przeciwności, zachować przy tym dumę i godność? Żyć – często i umierać – na stojąco, nie na klęczkach. Na ile znam pana kapitana żegluga wielkiej **Zbigniewa Sulatyckiego** – o Nim mowa, o Nim jest ta książka, Jego są słowa tytułowe – to tak właśnie Go postrzegam, głowę nosi wysoko!

Piszę o człowieku morza, kapitanie żegluga wielkiej, ale odniosę się do pewnego kawalerzysty, ułana, którzy jak wiadomo obok pilotów i właśnie żeglarzy-marynarzy, musieli mieć i mają największą fantazji i hardości. Otóż pewien kawalerzysta powiedział przed wojną, że oni zginają w życiu kark tylko dwa razy: w kościele i na gimnastyce! Ale gdyby jednak chcieć szukać marynarskich – nie ułańskich – odnośników i wzorców, pewnie sięgnąć trzeba do słynnego kapitana żegluga wielkiej Mamerta Stankiewicza, który m.in. prowadził dziewiczy rejs statku m/s „Piłsudski” z Gdyni do Nowego Jorku, pokonując trasę Europa-Ameryka w najkrótszym możliwym czasie, bijąc wszelkie rekordy np. angielskiej floty; a musiał jeszcze dopłynąć z Gdyni do Morza Północnego i wyjść na pełny ocean. Był to nasz nowy statek pasażerski, transatlantyk. Tym rejssem, kilka miesięcy po śmierci Marszałka w 1935 r., płynęli m.in. generałowie Gustaw Orlicz-Dreszer i Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

Skąd my się znamy?

Znamy się z Torunia. Tam właśnie, u ojców redemptorystów, poznałem osobiście pana kapitana Sulatyckiego w latach 90. ubiegłego wieku. Spotykaliśmy się na zjazdach Polonii, współorganizował je, zna zagadnienia Polonii. Tam obserwowałem, jak dyryguje wieloma sprawami i jak duży ma posłuch oraz autorytet. Widać było, że ma cechy przywódcze; jak to kapitan. Oczywiście wcześniej słyszałem o Nim w Radiu Maryja, od znajomych, znałem Go z prasy drukowanej – wtedy nie było jeszcze internetu, ale przede wszystkim nie było dostępnych w sieci tylu informacji co dziś.

Na zjazdy Polonii jeździłem jako dziennikarz i wydawca, spotykało się tam i spotyka wiele osób także ze środowisk kościelnych, a pan Kapitan

jest też człowiekiem Kościoła. Te osoby znają się ze swoich lokalnych środowisk, znają ich diecezjalni biskupi oraz znani politycy i dziennikarze, zatem gdy na pytanie do kogoś nowego, nieznanego, młodego: skąd jesteś? pada w odpowiedzi jakieś miasto – wystarczy zapytać od razu kogoś znanego „swojego” z tego miasta: kto to jest? I wszystko wiadomo. Budzi taki krąg zaufanie, można wiele rzeczy wspólnie zdziałać, wielkich, dla środowiska, dla Kościoła, dla kraju – o wyborach samorządowych czy parlamentarnych nie wspominam, bo nigdy w nich nie startowałem. Nie były mi potrzebne jakieś koneksje i poparcia, ale jest w tym dużo amerykańskiej prawdy, że wybory wygrywa się w parafiach (ludzie cię znają, mogą pomóc w kampanii nosić ulotki, zgłaszać na ciebie etc.) i w mediach – tu mowa o propagandzie, nagłośnieniu osoby lub problemu.

Drugim polem, na jakim poznawałem aktywność pana Kapitana, było forum gospodarcze. Kpt. Sulatycki założył w Gdyni w 1996 roku z kilkoma przyjaciółmi, w większości ludźmi morza, Polskie Stowarzyszenie Morskie-Gospodarcze im. E. Kwiatkowskiego. Działalność społeczna i bezinteresowna zgodnie ze Społeczną Nauką Kościoła, działalność na rzecz polskiej gospodarki (w tym morskiej), troska i dbanie o jej prawidłowy rozwój i funkcjonowanie. Działalność ta polega m.in. na organizowaniu spotkań, sympozjów i konferencji naukowych, konwentów morskich, analizach sytuacji gospodarczej, publikacjach o tematyce morskiej; przyznawaniu nagród „Animus et Semper Fidelis”. Kpt. Sulatycki jest ob. honorowym prezesem Stowarzyszenia.

Jeżdżąc na te uroczystości, do różnych miast w Polsce, obserwowałem pana Kapitana i w tej

roli – jako animatora życia społeczno-kulturalno-naukowego. Właściwie on oraz biskup Antoni Pacyfik Dydycz, przewodniczący Kapituły Nagrody, decydują o nazwiskach kolejnych nagrodzonych z kraju i zagranicą.

Książka

Książka o kpt. Sulatyckim została wydana w Gdańsku w 2017 r., składa się właściwie z dwóch rozdziałów: historii życia bohatera oraz wypowiedzi o nim w formie wywiadów z 26-oma osobami, które znają Kapitana na różnych polach Jego życia i aktywności. Zebrał ten materiał i połączył w całość ks. Rafał Starkowicz z Gdańska, redaktor i dyrektor gdańskiego „Gościa Niedzielnego”.

Jest zatem w książce rodzina (żona i córka Magdalena), jest Kościół i wiara katolicka w wypowiedziach m.in. ks. bpa Edwarda Frankowskiego, ks. bpa Antoniego Pacyfika Dydycza, o. Tadeusza Rydzika CSsR, jest morze (inż. Zbigniew Wysocki, Krzysztof Siedlikowski, Paweł Brzezicki), polityka – Jarosław Kaczyński, choć tej dziedziny właściwie każdy z wypowiedziących dotyka. Ale à propos polityki, inaczej wspomina konspekt np. AWS i osoby Mariana Krzaklewskiego JE ks. biskup A.P. Dydycz, bardziej wyrozumiale, z miłością, inaczej zaś ojciec Tadeusz Rydzik – bardziej wymagająco, trochę rozliczeniowo, ale i z konkretnymi przykładami, jak nas ten AWS urządził – to akurat moje określenie.

Tu mała dygresja historyczna, kościelna i polityczna, jako że AWS – Akcja Wyborcza Solidarność miała swoje odniesienie do Akcji Katolickiej przed wojną, tworzona może była nawet na jej wzór. A jako że omawiane tu osoby to katolicy, trzeba wspomnieć i o tych straconych złudzeniach. Otóż w okresie kiedy Marian Krzaklewski tworzył AWS, gdy wystawił Jerzego Buzka na premiera rządu – gościł w Chicago i zorganizowa-

wano spotkanie z nim w auli przy kościele św. Jacka, w którym uczestniczyłem. Spotkanie organizował Kongres Polonii Amerykańskiej i jego prezes pan Edward Moskal, też dobry znajomy pana Kapitana. Liczba pytań skierowanych do p. Krzaklewskiego, gromiących go, uwagi i informacje, jakie ludzie tam przekazywali, była niesamowicie przytłaczająca i dołująca. Polonia знаła doskonale życiorysy polityków w Polsce, wyciągali ich sprawy osobiste i rodzinne – choćby ich żony, co jest naturalne, bo to żony często uczestniczą w grze, mają stanowiska, podejmują decyzje za mężów polityków. Pomyślałem wtedy: wy tu zostaniecie, a ja wrócę do kraju i na mnie będą ci nowi koalicyjni politycy eksperymentować, ale przegramy znów wszyscy, zostaniemy oszukani jak zawsze. Było tam na sali i dużo życzliwości, i pozytywnej energii, ale była pewna bezsilność tej Polonii, obawy, żal, zmarnowane nadzieje, rozczarowanie. Wróciłem do kraju, a tu pełna sielanka: pan Buzek mąż opatrności, koalicja na 102 etc. Co za obłuda – myślałem widząc, jak to się rozsypuje w proch; Chicago miało rację!

Pozwalam sobie na trochę polityki, bo pan kapitan Sulatycki ocierał się o nią przez ostatnie lata bardzo blisko, można rzec, że współtworzył ją, modlił się głośno i śpiewał „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. Jakiś czas się nie widzieliśmy, ale myślę, że teraz śpiewa „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie”...

Akcie społeczno-polityczne prowadzone przez p. Sulatyckiego, w tym obrona przemysłu stocznowego, Stoczni Gdańskiej, też są opisane w tej książce dość szeroko, podobnie jak działalność polityczna i bycie ministrem żegluga morskiej.

Książka liczy 320 stron, jest bogato i kolorowo ilustrowana tak w środku, jak i w dodatku na końcu; brak niestety indeksu nazwisk. Są zdjęcia rodzinne, młodzieńcze, szkolne, morskie, dużo z politykami, w tym z Jarosławem Kaczyńskim, z którym jak wieść niesie pan Kapitan jest po imieniu. Myślę, że bycie po imieniu z tak ważnym i wpływowym politykiem świadczy o ważności i wpływach pana Kapitana. Iluż polityków było na przykład per ty z marszałkiem Piłsudskim? Kilku raptem.

Wojciech Stanisław Grochowski

Łódzkie tradycje morskie i rzeczne

Miało Łódź jeszcze niedawno miało przydomek przemysłowego, było drugie (dziś trzecie) pod względem liczby mieszkańców w Polsce – choć uważane za prowincję, a jeszcze przed II wojną pomijane i poza piątką największych miast polskich, którą tworzyły: Warszawa, Kraków, Poznań, Lwów oraz Wilno. Choć miasto z nazwą morską i rzeczną, wodną, to bez dużej rzeki. Ostał się Ner, o szerokości średnio trzech metrów, kilka pomniejszych rzek wyszło albo schowano je i płyną kanałami pod ziemią. Ale Łódź ma wielkie tradycje morskie i rzeczne, przed II wojną światową działał np. jeszcze port rzeczny na Stokach; to w Łodzi był wówczas jeden z największych oddziałów Ligi Morskiej i Rzecznej, założony 2 kwietnia 1925 r. Jako że *noblesse oblige*, Łódź i wiele łódzkich instytucji mają w herbie i w logo łódź i żagle.

Liga Morska i Rieczna ma początki w 1918 roku, najpierw powstała jako „Bandera Polska”, w latach 1919–1924 Liga Żegluga Polskiej, przekształcona następnie z inicjatywy gen. Mariusza Żaruskiego w Ligę Morską i Rieczną, by od 1930 roku przyjąć nazwę Liga Morska i Kolonialna; działała do 1939 roku, kiedy liczyła w kraju milion członków. Reaktywowano ją w 1980 roku jako Ligę Morską, a od 1999 r. jest to Liga Morska i Rieczna. Od 1981 roku aktywnymi działaczami i członkami zarządu okręgowego LMiR w Łodzi są kpt. Stanisław Kobylński i inż. Stefan Wasiljew (ur. w Gdyni w 1937 r.).

Na frontonie kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 125 w 1983 roku wmurowano tablicę upamiętniającą 65. rocznicę powstania Ligi Morskiej, na kamienicy przy ul. Andrzeja 3 zawieszono w 2007 r.

tablicę dedykowaną Pierwszemu Kaprowi Polskiej Floty Królewskiej Mateuszowi Sierpinkowi-Scharpingowi; w kamienicy tej w latach 1936–1939 była siedziba Ligi Morskiej i Kolonialnej.

LMiR ściśle współpracuje z Muzeum Morskim w Łodzi (w gmachu VI LO przy ul. Podmiejskiej 21), założonym w 1990 roku. Pokazuje ono dokumenty, przedwojenne sztandary, zdjęcia, kordzik admirałski, stroje nurków, zbiór medali okolicznościowych, wydawanych z okazji uroczystości morskich. W szkole działa Koło Ligi Morskiej i Rzecznej, zespół szantowy „Piranie”. Vis-à-vis jej gmachu w 1984 roku odsłonięto pomnik w formie kotwicy z inskrypcją na cokole „Ludziom Morza”, a na frontonie szkoły wmurowano dwie tablice pamiątkowe, poświęcone wiceadmirałowi Zdzisławowi Studzińskiemu (1922–1976) i wiceadmirałowi Kazimierzowi Porębskiemu (1872–1933) – kotwicę przywieziono z Gdyni z „Dalmoru”, ratując ją z likwidowanej tam jakiejś placówki.

W Łodzi znajduje się dużo ulic o marynistycznych nazwach, wiele na Rudzie, są to m.in. ulice: Bosmańska, Chyłońska, Oksywie, Orłowska, Pucka, Redowa, Rozewie, Sopocka, Tczewska i inne. Na cześć zaślubin z morzem jest ul. 10 lutego (od Brzeźnej), na cześć łodzianina wiceadmirała Studzińskiego nazwano ulicę jego imieniem na Radogoszczu. Rodzice i dziadkowie wiceadmirała pochowani są na jednym z łódzkich cmentarzy.

Drugi łódzki morski pomnik w Łodzi znajdował się przy ul. Wersalskiej 45, odsłonięto go w 1999 roku i był reklamowany jako pierwszy pomnik rybaka w Polsce. Napis na nim głosił: „W hołdzie rybakom morskim i śródlądowym”; niestety został rozebrany

w ostatnich latach... Kolejna tablica (jeszcze wisi!) została zamontowana w Łodzi 10 lutego 2005 r. z inicjatywy łódzkich radnych Lucjana Muszyńskiego i Anny Lucińskiej przez prezydenta Jerzego Kropiwnickiego, przy ul. 10 Lutego – z okazji rocznicy zaślubin Polski z morzem.

Obecna jest w Łodzi pamięć o gen. Mariuszu Żaruskim (1867–1941), marynarzu i żeglarczy, taterniku, podróżniku, poecie, malarzu, fotografie. Jest patronem Szkoły Podstawowej nr 141 (ul. Zakładowa 35), znajduje się tam jego popiersie. Jest patronem Szczepu Harcerskiego „Żywioty”; na Stokach jest ulica (malutka niestety) gen. Żaruskiego, dochodząca do parku gen. Żaruskiego, w którym w 1998 roku odsłonięto obelisk gen. Żaruskiego. Przy ul. Wapiennej 17 mieści się Publiczne Gimnazjum nr 19 im. gen. M. Żaruskiego, w którym także znajduje się duże gipsowe popiersie patrona; szkoła słynie z nauczania języka japońskiego. Szkoły powyższe organizują uroczystości morskie (Dni Morza i inne), biorą udział w tematycznych konkursach, zawodach i sportach wodnych, w spływach rzecznych i morskich rejsach, w regatach na Stawach Jana czy pobliskim Zalewie Sulejowskim.

Na Starym Cmentarzu w części katolickiej ustawiono pomnik nagrobny w kształcie żagla – zdołi mogiłę prof. Romana Modzelewskiego (zm. 1997), malarza, żeglarczy, projektanta jachtów.

Poza wyżej wymienionymi instytucjami i miejscami w mieście działają kluby żeglarskie (w tym harcerskie i akademickie), jest Polski Związek Żeglarki, Klub Sportów Wodnych przy LMiR, z Łodzi pochodziło wielu ludzi morza. W Głównie, niedaleko Łodzi, od 40 lat funkcjonuje jedna z większych w Polsce stoczni jachtowych, budująca i remontująca jachty, łodzie i mniejszy sprzęt pływający. W Łodzi regularnie odbywają się targi „Boat Shot”.

Wojciech Stanisław Grochowski

Animus et Semper Fidelis

W marcu 2018 r. po raz osiemnasty Polskie Stowarzyszenie Morskie-Gospodarcze im. E. Kwiatkowskiego wręczy nagrody – statuetki „Animus et Semper Fidelis”; tym razem w Łodzi. Nadawane są osobom szczególnie zasłużonym dla kraju, są to: statuetki, dyplomy oraz pierścienie Hallerowski – na pamiątkę i w rocznicę Zaślubin Polski z morzem 10 lutego 1920 roku przez generała Józefa Hallera w Pucku. Od kilku lat do rocznicy tej i obchodów dołączono datę 10 lutego 1940 roku – pierwsze masowe wywózki Polaków w głąb Rosji sowieckiej, w tym na Syberię. Spotkania są bardzo uroczyste, w części konferencyjnej będą dwa referaty tematyczne, w części artystycznej wystąpią: chór i organista Salezjańskiej Szkoły Muzycznej z Lutomiarska, schola dziecięco-młodzieżowa z Moszczownicy i „Kapela Znad Baryczy” z Odolanowa.

Dotychczas statuetką nagrodzono 49 osób, w marcu nagrodzeni zostaną w Łodzi:

– JE ks. abp Marek Jędraszewski, metropolita krakowski;

– pani premier Beata Szydło, premier rządu w latach 2015–2017;

– poseł na Sejm RP pani Małgorzata Wassermann.

W programie konferencji referaty:

– kpt. ż.w. Józef Gawłowicz: „Gryfici – sojusznicy Jagiellonów”;

– Piotr Szubarczyk (IPN Oddz. Gdańsk) – „Trauma Polski i ustawa o IPN”.

Uroczystości odbędą się w obiektach salezjanów przy ul. Wodnej 34, rozpoczyna się Mszą Świętą konsekrowaną w intencji Ludzi Morza; organizatorem na zlecenie PSM-G jest Fundacja Kultury i Biznesu. Red.

Początek drogi Sucharskiego na Westerplatte

W bitwie o Westerplatte, zaatakowana strona polska, pomimo ogromnych dysproporcji na naszą niekorzyść, osiągnęła pięcio-sześciokrotną przewagę, jeśli idzie o spowodowanie strat u przeciwnika (po stronie polskiej 15 zabitych i 50 rannych, po stronie niemieckiej 300- 400 zabitych i rannych). A poza tym swoją heroiczną walką przez pełny tydzień podtrzymywała na duchu napadniętych podstępnie Polaków, gdy słyszeli codzienny komunikat radiowy „Westerplatte broni się jeszcze!”

Są takie biografie, których nie można, a właściwie nie należy opowiadać, bez uwzględnienia całego entourage'u życia danej postaci, całej społecznej i związanej z różnego rodzaju relacjami otoczek, która czasami, z różnych historycznych względów jest tak ciekawa, że staje się niemal osobnym, wyodrębnionym tematem danej pracy biograficznej. Oddalając się dość znacznie od samej postaci, której życie jest opowiadane, ale pozostając zarazem w widocznym związku z tym, jak ona się kształtuje od najwcześniejszej młodości, jak owa otoczka na nią wpływa, chociaż, oczywiście, nie może to być pokazane dokładnie, zawsze jakaś część tej relacji pozostaje tajemnicą, której do końca nie odkryjemy, zdani na domyśle.

Z takim przypadkiem mamy do czynienia, czytając pierwszy tom opowieści biograficznej pióra Romualda Karasia, poświęconej majorowi Henrykowi Sucharskiemu, dowódcy bohaterskiej, siedmiodniowej obrony Wojskowej Składnicy Tranzytowej na półwyspie Westerplatte. W pierwszym tomie dzieła Romualda Karasia znajdujemy się jednak jeszcze z dala od tych tragicznych wydarzeń, obejmuje on bowiem w zasadzie pierwszą dekadę XX wieku, a nosi tytuł *Kłątwa i cud. Majora Sucharskiego droga na Westerplatte* (druga część tytułu dotyczy wszystkich trzech tomów) i jest reportażem historycznym ze wsi rodzinnej Majora, czyli z Gręboszowa pod Tarnowem i okolic, obudowanym różnorakimi prolegomenami polskiej czy przynajmniej galicyjskiej historii tego czasu, a obejmującym jedynie pierwsze jedenaście czy dwanaście lat życia głównego bohatera.

Jednym z najważniejszych elementów tej otoczki, owej atmosfery społecznej, w jakiej wzrastał Heniek Sucharski, jest sprawa *Kłatwy*, sztuki dramatycznej Stanisława Wyspiańskiego, której genezie autor poświęca dużą część tekstu książki. Szczególnie dotyczy to jej relacji z odbiegającymi w dużym stopniu od przedstawionego przez artystę dramatu (*Kłątwa* nosi podtytuł „Tragedya”) – gręboszowskimi realiami, które autor opisuje z takim przybliżeniem, jak we współczesnym reportażu, racząc czytelnika różnego rodzaju przypuszczeniami i domysłami (np. mamy opis, nader realistyczny, pobytu Wyspiańskiego w Gręboszowie i okolicach i tego, jak zbiera tu materiały do dramatu, a następnie hipotezę równoważną, że wcale artysta tutaj nie przebywał, a *Kłatwę* oparł na opowieściach swojej chłopskiej małżonki, pochodzącej z niedalekiego Kantora).

Nie mniej ważnym składnikiem książki jest opowieść o początkach ruchu ludowego i oddziaływaniu czytanego powszechnie przez oświeconą część wsi (do której należała rodzina Sucharskich) organu ludowców pt. „Przyjaciela Ludu”, redagowanego przez Marię i Bolesława Wysłouchów, współtwórców ruchu ludowego, a później przez Jana Stapińskiego, ich redakcyjnego następcę. W owym czasie ruch ludowy i jego „Przyjaciela Ludu” znalazł się w ostrym konflikcie ze sferami duchownymi Kościoła katolickiego, przy czym ludowcy, a szczególnie jeden z najwybitniejszych z nich, Jakub Bojko z Gręboszowa, krewny Sucharskich, wybitny publicysta chłopski, opierając się w niemałym stopniu na tradycjach antyklerykalizmu chłopskiego, doprowadzili ten konflikt do stanu wrznięcia.

I miało to bezpośredni wpływ na społeczność wsi i parafii gręboszowskiej, która podzieliła się na dwie frakcje, przy czym wrogowie dwóch kolejnych proboszczów posuwali się do fałszywych oskarżeń, a nawet do krzywoprzysięstwa, by w końcu doprowadzić ks. Kahla, kolejnego

proboszcza gręboszowskiego, do odejścia z parafii i do obłądu. Trzeba dodać, że przyczynił się do tego on sam niezbyt mądrymi zakazami – zabraniał na przykład płaczków na pogrzebach – i swoim niemieckim pochodzeniem przejawiającym się w podobnych próbach swoistej protestantyzacji tradycyjnych zwyczajów katolickich. Ów „stan wrzenia” oddziałal, oprócz charakterystycznego dla ludowych opowieści „przesadyzmu”, na autora *Kłatwy*, której fabuła odbiega w swej tragiczności od obrazu rzeczywistych wydarzeń.

Działo się to wszystko i oddziaływało na społeczność w znacznie szerszym zakresie niż tylko w obrębie Gręboszowa i od pewnego czasu miało też wpływ na młodziutkiego Sucharskiego, kiedy posiadał już sztukę czytania, a wkrótce – mając 5 lat – sięgał też do „Przyjaciela Ludu”, którego czytelnikiem był jego ojciec Stanisław. Jak widać, Karas, mimo iż na wielu stronicach odbiega od tematu stricte biograficznego, bo opisywane postawy różnych osób i zdarzenia są materia o to, by zawsze wiązać główne nurty tego opisu z postacią najpierw dziecka, ale nad wiek rozwiniętego duchowo i intelektualnie, a potem młodzieńca, ukazując tym samym, jak się kształtuje światopogląd i charakter młodocianego bohatera.

Wzrasta on w otoczeniu ludzi o nietuzinkowych zainteresowaniach i wyrazistej tożsamości, na ogół selfmademanami, jak ów Jakub Bojko (który zapewne w końcu stałby się przywódcą ludowców, gdyby nie okazało się, że jeszcze lepszy od niego był Wincenty Witos, który wkrótce to przywództwo przejmie), jak Jakub Świętek, samouk właśnie, posiadacz zasobnej biblioteki, z której korzystali także Sucharscy, a Henryk w miarę dorastania coraz więcej.

Ta szczególna edukacja, jakiej był poddawany przyszły obrońca Westerplatte, była wielowymiarowa, zarówno dlatego, że emocjom społecznym opisanym w *Kłatwie* z dużą przesadą (jako że w Gręboszowie realnym nikogo nie spalono na stosie), towarzyszyła inicjacja intelektualna, i to bynajmniej nie jednostronna. Henio Sucharski bowiem czytywał nie tylko „Przyjaciela Ludu”, lecz zaglądał także do „Pszczółki” redagowanej przez ks. Stanisława Stojalowskiego. „To on pierwszy – pisze Karas o ks. Stojalowskim – podjął próbę organizacji wsi, wydzwignięcia chłopca z upadku i oświecenia ludu.” Emocjom społecznym, którym był poddawany także młodziutki Sucharski, towarzyszyły zatem spory intelektualne, na przykład o to, „(…) na kim ma się oprzeć Stronnictwo Ludowe, a później PSL – na bogatych czy biednych chłopach? Coś już zgrzytało zarówno w Stronnictwie, jak też w redakcji „Przyjaciela Ludu.” Groziło to rozłamem i walką o charakter pisma. Z tej atmosfery coś także przeniknęło do świadomości Heńka” – pisze dalej Karas.

Kolejnym, niezwykle istotnym, motywem opowieści jest przysłowiowa nędza galicyjska. Rozdrobnienie gospodarstw, głód ziemi – powodowały głód prawdziwy, zwłaszcza na przed-

nówkach. Ciężko było je przetrwać. Do tego dochodziły długotrwałe susze (jedna z nich została uznana za ową „kłatwę” spowodowaną rzekomo przez grzech nieczystości księdza Kahla, którego w rzeczywistości nie popełnił), na przemian z długimi okresami deszczu i śloty, prowadzących do podtopień nie tylko nisko położonych łąk i poletek.

Sucharscy doświadczali owej nędzy galicyjskiej dojmująco, Stanisław bowiem, ojciec Heńka, gospodarujący na niewielkim splachetku ziemi, nie mogąc z tego wyżywić licznej rodziny, wyuczył się szewstwa. Ale jako szewc też bardzo cienko przadł, gdyż ludzi często nie stać było na naprawę butów, a gdy zdarzył się obstalunek na nowe ze strony kogoś zamożniejszego, to było święto w rodzinie. Sytuacja się pogorszyła, gdy trzeba było sprzedać konia, bo na przednówku nie było go czym wyżywić.

Pisze Karas, że bohaterowie jego książki (Bojko, Świętek, ks. Halak, następca ks. Kahla, Sucharscy) czytali *Nędzę Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego* Stanisława Szczepanowskiego z 1888 roku.

Karas cytuje także *Sztafetę* Melchiora Wańkowicza: „I wtedy do umysłów kształconych na humaniorach, egzaltowanych przez niewolę, przekradała się świadomość, że orzelki białe, sprzedawane przez Żydów w Sukiennicach krakowskich, przewożone w białiznie do kraju przez rozentuzjasmowane paniusie, to jest bardzo mało wobec tego, o co się potykał pierwszy galicyjski nafiarcz, przemysłowiec i romantyk tej Polski nowej, nadchodzącej, ledwo przeczuwanej.”

Naturalnie, nie mogło się obyć bez wspomnienia o pionierze przemysłu naftowego, Ignacym Łukasiewicz i o jego lampie naftowej (oświetlała także skromne wnętrza domku Sucharskich) oraz o krótkim, ale niezwykle dynamicznym okresie galicyjskiego Eldorado (Borysław, Drohobycz, Gorlice). „W okręgu naftowym – pisze Karas – stworzonym przez Stanisława Szczepanowskiego, pracowało do dziesięciu tysięcy ludzi. Produkcja ropy w pewnych okresach była nawet w Galicji wyższa niż w roponośnej Rumunii. To też graniczyło z cudem. Cudem gospodarczym, tak rzadkim w Polsce.” Ale, niestety, krótkotrwałym.

Ten cud nie odmienił losu mieszkańców Gręboszowa i okolic. Nędza wciąż triumfowała. A mimo to Heniek Sucharski został wysłany do szkoły aż do Tarnowa. Pomogli dwaj księża, wspomniany ks. Jan Halak z Gręboszowa, który nie wyobrażał sobie, by Heniek nie kształcił się dalej, i ks. Piotr Podolski z Tarnowa, który go przyjął na stancję i przeciwko któremu młodzieńiec buntował się, by znów powrócić na plebanie. A więc społeczność gręboszowska, reprezentowana przez proboszcza, któremu udało się wyciszyć opisywany wyżej konflikt, nie opuściła młodego człowieka w potrzebie.

Dużo jeszcze innych wątków, także tych z *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego, ale dotyczących bohaterów książki i to nie tylko dotychczas tu wymienionych, trzeba by jeszcze opisać, dużo wymienić nazwisk, wśród nich m.in. Ignacego Daszyńskiego, z którym również współpracował Jakub Bojko, żeby dopełnić całości.

Jest także w książce Romualda Karasia

obecna swoista metafizyka. No, bo jak inaczej nazwać dwa listy Autora do majora Sucharskiego: na początku list-inwokację, a na końcu list-raport z reporterskich dokonań, kończący się informacją o zamierzonym i napisanym już tryptyku, którego część pierwszą właśnie przedstawiłem, a dwie pozostałe to *Żołnierz Wielkiej Wojny* i *Zwycięzca*. W liście-inwokacji mowa jest o znanych oskarżeniach Majora, że jako dowódca chciał poddać Westerplatte już drugiego dnia walki, że ukrył swoją chorobę, na którą zapadł po pierwszym dniu obrony, że dowództwo przejął porucznik Franciszek Dąbrowski i że właściwie to on dowodził bohaterską obroną Westerplatte. Ów pan porucznik, który po wojnie nie zrobił kariery, pracował jako kioskarz na dworcu krakowskim, być może chciał zaistnieć i wziął walny udział w nagonce na swego dowódcę. Pomijając niejasną genezę tej nagonki, faktem jest, że najchętniej rozpowszechniała te oskarżenia peerelowska czy post peerelowska lewica; ja przeczytałem o tym po raz pierwszy w periodyku „Dziś” redagowanym przez Mieczysława F. Rakowskiego. Nawiasem mówiąc, Krzysztof Kąkolewski uważał, że Janusz Roszko był zadaniowany przez SB, gdy jako jeden z pierwszych zaatakował Sucharskiego, ale szlachetny Romuald Karas, który przyjaźnił się z krakowskim reporterem, nie przyjmuje tego do wiadomości.

„Skąd się wzięły te oskarżenia? – pyta Karas – Kto je pierwszy wysunął? Czy z punktu widzenia wojskowego taka sytuacja była możliwa? Jak się ma wobec tych zdarzeń sprawa honoru oficerskiego? (...) A może to wszystko jest fikcją? Czy nie mamy do czynienia z konfabulacją? Tyle pytań staje przed reporterem. Muszę na nie odpowiedzieć.”

Nie wątpię, że Romuald Karas odpowie na te i inne pytania, zdejmie z mija Sucharskiego, niewątpliwego dowódcy obrony Westerplatte, skorupę niezasłużonych, fałszywych oskarżeń i odda mu należny hołd. Warto przy tej okazji przypomnieć, że stosunek sił obu stron tej tygodniowej walki na śmierć i życie, jeśli idzie o liczbę żołnierzy, wyrażał się blisko dwudziestokrotną przewagą strony niemieckiej nad polską (4000 żołnierzy do 225), jeśli zaś idzie o siłę ognia (z ładu i z powietrza) to przewagę tę trzeba by wyrazić w liczbach trzydziestokrotną lub nawet wyższych. Natomiast strona polska, pomimo wspomnianych dysproporcji, osiągnęła pięcio-sześciokrotną przewagę, jeśli idzie o spowodowanie strat u przeciwnika (po stronie polskiej 15 zabitych i 50 rannych, po stronie niemieckiej 300- 400 zabitych i rannych). A poza tym swoją heroiczną walką przez pełny tydzień podtrzymywała na duchu napadniętych podstępnie Polaków, gdy słyszeli codzienny komunikat radiowy „Westerplatte broni się jeszcze!”

W następnych tomach książki autor odmaluje ze smakowitymi szczegółami obraz Polski z okresu Wielkiej Wojny i odradzającej się Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, dzieje Sucharskiego w dwudziestolecie międzywojennym i podczas II wojny światowej, jak również w powojennej służbie w II Korpusie, aż po śmierć w Neapolu 30 sierpnia 1946 roku i spontaniczne, manifestacyjne uroczystości żałobne w Gdańsku i na Westerplatte 30 sierpnia i 1 września 1971 roku, związane z pochówkiem prochów bohatera przywiezionych do kraju w 25-lecie jego śmierci. Wzięło w nich udział kilka tysięcy ludzi. Imponujący fotoreportaż z tych wydarzeń, autorstwa Niny Smolarz i Stefana Figlarowicza, ukazał się w sześciomiesięcznym miesięczniku „Polska”, kolportowanym w krajach Europy Zachodniej i obu Ameryk. Pozostała prasa peerelowska wydarzenie przemilczała.

Romuald Karas – *Kłątwa i cud. Majora Sucharskiego droga na Westerplatte*, Oficyna Literatów i Dziennikarzy POD WIATR, Warszawa 2017, ss. 288.

Jerzy Biernacki



Radziejowickie konferencje filmoznawcze

Mające już ustaloną markę, Ogólnopolskie Konferencje Filmoznawcze w Radziejowicach (przedtem w Borkach) są imprezami adresowanymi przede wszystkim do polonistów zajmujących się na swych lekcjach również problematyką filmową, instruktorów z domów kultury i tzw. kinarzy. Weszły już w drugie ćwierćwiecze, jednak bez ich inicjatorki, zmarłej nie tak dawno prof. Eweliny Nurczyńskiej-Fidelskiej. Prowadzenie konferencji przejął prof. Piotr Sitarski, jej wychowanek i następca na stanowisku kierownika Katedry Mediów i Kultury Audiowizualnej Uniwersytetu Łódzkiego – Katedra jest jednym z głównych, obok Centralnego Gabinetu Edukacji Filmowej w Pałacu Młodzieży im. Juliana Tuwima w Łodzi, organizatorów imprezy.

Każde zgrupowanie ma bogaty program, w trakcie czterech dni przewidziane są projekcje, analizy filmologiczne i pedagogiczne filmów, zajęcia warsztatowe oraz – mające szczególną wartość jako intelektualne jądro przedsięwzięcia – wykłady naukowców z różnych krajowych uczelni.

Najpierw słów kilka o sesji 26. z 2016 roku, która dotyczyła tradycji i przemian we współczesnym filmie dokumentalnym. Do najważniejszych wykładów należało wystąpienie prof. UJ Tomasza Majewskiego. Referował on zagadnienie filmu dokumentalnego jako eseju hybrydowego, skupiając się na analizie interwału, czyli przestrzeni pomiędzy medium a własnościami tekstowymi dokumentu. Zauważyć można obecnie istotne zmiany w zakresie poetyki takiego filmu, wykazującego coraz większą samoświadomość i przechodzącego na stronę subiektywną, gdzie eksponowana jest – oparta na osobistym doświadczeniu – jedna z rozlicznych prawd. Nie wygodne staje się myślenie o dokumencie punktu widzenia opozycji prawdy i fikcji. Film dokumentalny przestaje być też formą ciągłą, grawituje w stronę instalacji służącej temu, by coś przez nią płynęło. Pojawiają się coraz częściej w tym gatunku rekonstrukcja, inscenizacja zdarzeń, także różne rodzaje animacji a eksperymentalny film dokumentalny znajduje dla siebie miejsce w galeriach sztuki.

Prof. Mirosław Przyłipiak (UG) podjął z kolei temat filmu dokumentalnego w epoce nowych mediów. Każde medium było kiedyś nowe (i pożerało stare). Internet może być traktowany jako platforma prezentacji wszelkich, powstałych wcześniej, obrazów, ale w wypadku filmów tworzonych specjalnie na jego użytek wchodzą w rachubę takie cechy, jak maksymalna skrótowość wypowiedzi, ich sloganowość, plakatość czy perswazyjność obliczona na budowanie wspólnot. Stosowana bywa ukryta kamera, co kiedyś uważano za działanie nieetyczne. Dziś usprawiedliwia je praktyka ciągłego filmowania ludzi w różnych sytuacjach i to wielokrotnie w ciągu dnia (kamery przemysłowe itp.). Poza tym prawie każdy ma kamerę i posiada bogatą dokumentację swego życia. Niektórzy, na zasadzie autoekspresji, sami upubliczniają prywatne materiały. Coraz częściej pokazywana jest intymność. Inwigilacja stała się inspiracją do działań artystycznych. Ostatnio pojawiły się również produkcje łączące elementy gry komputerowej z filmem dokumentalnym.

W ramach konferencji odbyło się spotkanie z Pawłem Łozińskim, które dotyczyło głównie jego filmu *Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham*. Przerodziło się w ożywioną dyskusję, bowiem przedstawiony w obrazie seans psychoterapii został zainscenizowany. Biorąc w nim udział aktorki, autentyczny jest jedynie psychoterapeuta, prof. Bogdan de Barbaro. Czy to jeszcze dokument?

Promowano przygotowaną przez filmoznawców związanych z radziejowickimi spotkaniami książkę *Filmowe fale historii* – swoisty przewodnik po wybranych wydarzeniach z dziejów naszego kraju, zawierający siedem pakietów edukacyjnych poświęconych działom filmowemu (od *Kamieni na szaniec* w reż. Głińskiego po nowelową składankę *Solidarność, Solidarność...*).

Głównym tematem tegorocznej, 27. konferencji był film jako baza edukacji artystycznej



Rosanna Ludmiła Bova, fot. Janusz Janyst

i medialnej. Uwzględniono relację filmu z innymi sztukami, m.in. po raz pierwszy w szerszym zakresie z muzyką. Dr Tomasz Załuski z UŁ wyszedł w swym wykładzie od podziału filmów na komercyjne (głównego nurtu), artystyczne i filmy artystów wizualnych. Mówił o dziele ekranowym właśnie jako o medium sztuk plastycznych. Uwzględnił historię podejmowanych eksperymentów. W okresie awangardy (do lat 40. XX w.) pojawił się, odchodzący od iluzji, film abstrakcyjny, następnie imaginacyjny, surrealistyczny. W procesie odsemantyzowania narracji próbowano wówczas tworzyć „muzykę optyczną”, upatrując w świetle i ruchu istotę filmu, któremu odmawiano prawa do naśladowania teatru i literatury. Neoawangarda lat 60. i 70. przyniosła z kolei film strukturalny (analityczny, conceptualny), zaistniało też kino rozszerzone (film preformance, instalacja filmowa etc.). Sztuka aktualna jest następstwem przełomu conceptualnego powodującego wkroczenie w inne sfery rzeczywistości, stanowi też zwrot kinematograficzny w sztukach wizualnych i charakteryzuje się transdyscyplinarnością, transinstytucjonalnością.

Prof. Piotr Sitarski w swym wystąpieniu przeciwstawił sobie filmy i gry cyfrowe, czyli „rozrywki łatwe i trudne”. Podkreślił, że status kulturowego odbiorcy uzyskuje się poprzez trud i pracę, prowadzące do erudycji w sferze tekstualnej i symbolicznej. Wysiłku i kompetencji nie wymaga jedynie kultura popularna, której ważnym elementem jest zabawa, coraz mniej kojarzona dziś z dzieciństwem, a bardziej z udawaniem. Dość masową rozrywką stały się – należące do sieci tekstów (na ogół zorganizowanych wokół postaci z kultury popularnej, jak np. Lara Croft) i zyskujące coraz większe znaczenie, gry. Charakteryzują się one narracją cyrkularną, w której brak definitywnego zakończenia akcji. W narracjach tradycyjnych historia miała zawsze zamknięcie, co korespondowało z egzystencjalną prawdą o nieuchronności śmierci, przygotowywało na nią. W system rozrywki wpisany jest restart, możliwość zaczynania życia od początku i wypróbowywania nowych tożsamości. Ta istotna przemiana kulturowa powoduje utratę ciężkości bytu i prowadzi do braku odpowiedzialności za czyn.

Profesorowie UAM, Krzysztof Kozłowski i Mikołaj Jazdon w „dwugłosowej” pogadance omawiali rolę wstawek muzycznych w filmach fabularnych. Muzyka – skomponowana specjalnie do danego filmu, bądź adaptowana – jest (w przeciwieństwie do filmu muzycznego) podporządkowana obrazowi, umieszczona w ciasnych ramach, można ją brutalnie przerwać, co byłoby nie do pomyślenia w sali koncertowej. Nie oznacza to jednak, że nie rozwija swoich możliwości. Jej źródło istnieje na ekranie (muzyka diegetyczna), lub poza nim (niediegetyczna), może ona tworzyć klimat, nastrój, akcentować ruch, dookreślać semantycznie scenę (ulegając zarazem zsemantyzowaniu),

jest nawet w stanie decydować o znaczeniu całego filmu. Tak zwane wstawki muzyczne nie muszą być mniej wartościowe, niż filmowy musical, w którym dramaturgia opiera się na tzw. nume-

rach, będących okazją do popisu wykonawców. We wstawkach rola muzyki bywa bardziej finezyjna, mogą one też (jak w *Śmierci w Wenecji* Viscontiego) integrować strukturę dzieła.

Tym razem zorganizowano spotkanie z Piotrem Dumalą, który opowiadał o tajnikach warsztatowych związanych z tworzonymi przez siebie filmami animowanymi i fabularnymi (takimi, jak *Łagodna*, *Franz Kafka*, *Elderly*). Odbył się wieczór studyjny z filmową muzyką na żywo wykonywaną (z nut) przez pianistkę Rosannę Ludmiłę Bova.

Promowane były trzy książki autorstwa m.in. filmoznawców łódzkich: *Elementarz młodego kinomana* Jadwigi Mostowskiej – adresowany zresztą nie tylko do młodzieży – a także dwie prace zbiorowe z omówieniami konkretnych filmów i scenariuszami zajęć poświęconych X Muzie: *Filmowe małe ojczyzny* oraz *Zoom 8*. W przedmowie do ostatniego z wymienionych wydawnictw Piotr Sitarski napisał, że nie udało się, i zapewne już się nie uda, wprowadzić do polskich szkół edukacji filmowej jako osobnego przedmiotu – wiedza o filmie pozostała rozproszona wśród innych przedmiotów i pozostawiona nauczycielom-pasjonatom. Do tych słów można dodać tylko to, że dla owych nauczycieli-pasjonatów radziejowickie konferencje są naprawdę przydatne.

Janusz Janyst

Łódź bez Expo 2022

Łódź przegrała rywalizację o organizację wystawy Expo 2022, porażka władz Łodzi i prezydent Hanny Zdanowskiej. Jakoś cicho było jak makiem zasiał po tej przegranej: żadnych publicznych dyskusji, analiz, wskazania winnych porażki – cicho sza! Kto za to odpowiadał, z czyjej kasy, komu i za co płacono? Radni Miejscy Łodzi nie mogli doprosić się tuż przed ostatecznymi głosowaniami tekstu złożonej aplikacji! Expo wygrała Argentyna.

Najgorsze jest to, że to Expo było wg mnie do wygrania – gdyby Łódź „zagrała” m.in. Arturem Rubinsteinem, jednym z największych pianistów świata, człowiekiem znanym każdemu kulturalnemu człowiekowi – a tacy jak sądzę wydawali tu decyzje. Co oni pomyśleli o takim wniosku i takich władzach? Rubinsteina pominięto w tej aplikacji – zresztą ten sam grzech popełniono we wniosku o Europejską Stolicę Kultury 2016, też pominięto Rubinsteina w aplikacjach, i Łódź też przegrała!

Pan minister Jerzy Kwieciński stwierdził już pod koniec „wyścigów” o Expo, że Łódź nie jest znana w świecie. Złożyłem od razu propozycję, że Łódź może nie jest znana – ale znany jest wszędzie Rubinstein, że powinno się „wykorzystywać” i jego wizerunek w staraniach. Zasugerowałem listem panu ministrowi, żeby dał mi szansę a po kilku tygodniach Łódź pojawi się w największych mediach świata; pokażemy Łódź – ale i pewne zdarzenia światowe – poprzez i z historycznym udziałem Rubinsteina, poprzez kulturę. Wszak „Przyszłość należy do kultury – nie do polityki”, jak mówił Św. Jan Paweł II. Pominięto też ofertę Marka Żydowicza, aby rozszerzyć aplikację o projekt Camerimage Łódź Center autorstwa Franka Gehry’ego, jednego z najsłynniejszych architektów świata. Projekt ten poparł i zgłosił w Paryżu (przed głosowaniem) minister Jerzy Kwieciński.

Wojciech St. Grochowalski

Mirosław Winiarczyk

Rok 2017 w kinie polskim!

Rok 2017 nie przyniósł w kinematografii polskiej specjalnych rewelacji. Czołowi przedstawiciele środowiska chwalili się oczywiście pewnym sukcesami na międzynarodowych festiwalach. Jednak w na rynku krajowym największy rozgłos zyskały nagrodzone na Festiwalu Filmów Polskich w Gdyni *Pokot* Agnieszki Holland, *Sztuka kochania* Marii Sadowskiej, *Cicha noc* Piotra Domalewskiego, *Atak paniki* Pawła Maślony, *Reakcja łańcuchowa* Jakuba Pączka, *Pomiędzy słowami* Urszuli Antoniak i *Ptaki śpiewają w Kigali* Joanny Kos-Krauze i Krzysztofa Krauze. Za najciekawszy z tych filmów uważam *Pomiędzy słowami*, ciekawą od strony tematycznej i artystycznej wizję egzystencji pracującego w Berlinie młodego polskiego prawnika. Interesującym obrazem jest także obraz *Ptaki śpiewają w Kigali*, impresja na temat potwornych skutków ludobójstwa w Rwandzie na przykładzie losów dziewczyny, której wymordowano rodzinę. Pozostałe wymienione pozycje, niezależnie od walorów artystycznych, rażą brutalnym ujęciem marginalnych zazwyczaj tematów, podejmowanych często w sposób publicystyczny.

Z filmów zrealizowanych w gatunkach popularnych warto wymienić obraz *Najlepszy* Łukasza Palkowskiego, świetnie nakręconą historią mało znanego sportowca, któremu udało się wyjść z narkomanii i wygrać prestiżowe zawody w Ameryce. Dużo szumu narobił *Botoks* Patryka Vegi, w którym kontrowersyjny reżyser ukazał ciemne strony naszej służby zdrowia, moim zdaniem z wątpliwym powodzeniem.

Z licznych koprodukcji międzynarodowych rewelacją okazał się amerykański film *Azyl* Niki Caro, nakręcony z niewielkim udziałem polskim, gdzie oddana została sprawiedliwość dyrektorowi warszawskiego ZOO Janowi Żabińskiemu i jego żonie Antoninie, którzy z narażeniem życia uratowali w czasie niemieckiej okupacji wielu Żydów. Francuski kameralny film Romana Polańskiego *Prawdziwa historia*, także z niewielkim finansowym udziałem polskim (polska premiera wiosną 2018 roku), okazał się artystycznym sukcesem.

Na razie nic nie wskazuje żeby rok 2018 w kinie polskim okazał się lepszy.

Artur Rubinstein i Chopin

Pan Wojciech Grochowski poprosił mnie, abym z okazji V Rubinstein Piano Festivalu w Łodzi, powiedziała kilka słów na temat mojego ojca, w kontekście Fryderyka Chopina i wspólnego kraju ich urodzenia.

Oczywiście, dorastając w naszym domu, dosłownie wychowałam się „na Chopinie”, którego muzykę po raz pierwszy usłyszałam w wykonaniu ojca. Były to bardzo osobiste doświadczenia, słuchałam też nagrań innych artystów ojcu współczesnych, którzy byli dobrze znani z chopinowskich interpretacji, choćby francuski pianista Alfred Cortot i in. Było to wszystko bardzo ciekawe i posiadałam wiedzę w zakresie dawnej i współczesnej praktyki wykonawczej. Odkryłam więc, że istnieją sposoby grania i interpretacji muzyki Chopina inne niż mojego ojca – które oczywiście zawsze uważałam za naturalne i „właściwe”. Jednakże, w miarę, jak stawiałam się coraz bardziej obyta muzycznie, dowiedziałam się, że ojciec od zawsze zupełnie inaczej rozumiał muzykę Chopina niż jemu współcześni, i głośno dawał temu wyraz poprzez swoje muzyczne interpretacje. Na szczęście wyraził swoje poglądy na piśmie, w języku angielskim, m.in. w przedmowie do biografii Chopina autorstwa Kazimierza Wierzyńskiego z 1949 r. i w 1960 r. w *Monologu o Chopinie* opublikowanym podczas tournée po Polsce w magazynie „Saturday Review”, napisanym z okazji 150. rocznicy urodzin Chopina. W moich refleksjach prócz osobistych wniosków wynikających z porównania interpretacji muzyki Chopina przez ojca z innymi wykonaniami, odnoszę się także do tych artykułów.

Chciałabym dodać, że bardzo rzadko zdarzało się – w porównaniu do niektórych słynnych muzyków, do których ojciec też należał – aby pisemnie wyrażał swoje myśli na temat muzyki i jej wykonawstwa, skupiał się na graniu. Pamiętam też, że recenzenci jego autobiografii pisali o swoim rozczarowaniu, że dużo miejsca poświęcił na eksytujące wydarzenia ze swojego bujnego życia, zamiast na własne przemyślenia dotyczące muzyki. Więc fakt, że był gotów napisać te artykuły o Chopinie (pewnie były jeszcze inne powody) mówi wiele o głębi jego uczuć do tego tak ukochanego przez niego kompozytora.

Oto kilka kwestii odnoszących się do rozumienia muzyki Chopina przez mojego ojca:

1 – Tym, co szczególnie gniewało ojca słuchającego występów innych współczesnych mu wykonawców oraz komentarzy na temat Chopina, wygłaszanych np. przez pisarzy takich jak André Gide, to ich przekonanie, że Chopin był przede wszystkim „kompozytorem salonów”, który pisał czarującą, ale raczej nieistotną, wręcz zniewieściałą muzykę. Ten „mit”, jak zaznaczył ojciec, związany był z kondycją Chopina w późniejszym okresie życia, odzwierciedlał jego fizyczną wątłość i słabość (jak powszechnie wiadomo kompozytor cierpiał na gruźlicę i zmarł w wieku trzydziestu dziewięciu lat). Jak napisał mój ojciec – odnosząc się i dzieląc komentarze Liszta i Moschelesa na ten temat – Chopin, który był znany jako jeden z najwybitniejszych pianistów swoich czasów stosował duże różnice dynamiczne pomiędzy *mezzo piano* (na wpół cicho) i *ppp* czyli *piano pianissimo possibile* (możliwie najciszej). Ojciec odnotował, że Liszt, nazwany przez niego „thunderer” (z ang. „grzmiący”, by użyć słów ojca), był najlepszym wykonawcą etюд Chopina. Kompozytor bardzo cenił swojego ucznia Adolfa Gutmana, „tytana” i przewrotnego pianistę, i właśnie jemu zadedykował swoje Scherzo nr 3 (op. 39), jako dla najlepszego interpretatora tego utworu. Zatem ojciec podkreślił, że zdolności Chopina i pisanie zamierzonych brzmień muzyki, którą słyszał w swojej głowie, były niezależne od jego choroby, nie miała ona nic wspólnego z jego twórczością. Zwracał uwagę, że w rzeczywistości wiele dzieł kompozytora wymaga od wykonawcy odpowiedniej wytrzymałości fizycznej.

2 – Ojciec uwielbiał Chopina i czuł głębokie pokrewieństwo z jego muzyką także jako jego rodak. Był sfrustrowany, gdy inni muzycy uważali go za kompozytora „romantycznego”, interpretując jego muzykę w stylu wykonawczym z tego okresu. Nie jestem muzykologiem, więc nie będę wyliczała tych środków stylistycznych, ale dla mojego ojca świadczyły one o dość fałszywym podejściu do kompozytora. Jak zauważył, muzycznymi idolami Chopina byli Bach

i Mozart*; kompozytor nie lubił romantycznego „ekshibicjonizmu, użalania się romantyków nad sobą, ich tendencji do nadawania muzyce literackiej treści. W tym wszystkim przeciwstawiał się skrupulatnej samodyscyplinie, czysto muzycznej treści i klasycznym normom” [cyt. z SR, 1960]. Chopin nienawidził, gdy wydawcy dodawali jego utworom tytuły literackie. Chociaż Schumann był jego przyjacielem i wielbicielem, Chopin nie cenił jego literackich (edytorskich) dokonań. Nie cenił też zbyt Liszta jako kompozytora a choć podziwiał geniusz Beethovena, nie czuł z nim pokrewieństwa. Mój ojciec zauważył także, że w przeciwieństwie do takich kompozytorów jak Czajkowski, Liszt, Brahms, Dvorzak, de Falla itp., którzy często bazowali na autentycznych melodiach ludowych, Chopin wykorzystał je tylko raz, w części chorałowej Scherza b-moll. Nawet jego mazurki, polonezy i walce były oryginalnymi kompozycjami.

3 – Ojciec czuł, że prawdziwe miejsce Chopina w muzyce jest zdefiniowane, by użyć jego słów: „przez instrument, którego esencję objawił światu, i w którym objawił świat”, wprowadzając własne reguły i rozwijając „obrazoburczy romantyzm, który był jednocześnie oryginalnym klasycyzmem”. Dla ojca Chopin komponował *stricte* na fortepian, zamiast przenosić techniki charakterystyczne dla kompozycji orkiestrowych i/ lub specyfiki instrumentów klawiszowych budowanych przed powstaniem fortepianu (perkusyjnych, szarpanych).

Według ojca, kompozytor uczynił to wszystko poprzez:

1 – **sprawienie, by fortepian „śpiewał”**, kazał fortepianowi oddychać. Chopin zawsze uwielbiał włoską operę i wiedział, że melodia musi oddychać jak ludzki głos, jeśli nie ma brzmień mechanicznych. Aby to osiągnąć, stworzył słynne *tempo rubato*, które pozwala na elastyczność i kontrolę oddechu wymaganą u śpiewaka, nie tracąc przy tym niezbędnego pulsu kompozycji (w przeciwieństwie do zniekształceń linii w „romantycznym” stylu gry);

2 – **twórcze używanie pedału** (pedał oczywiście nie istniał we wcześniejszych instrumentach klawiszowych), aby mikсовать dźwięki w nowy sposób, aby uzyskać barwy, które wcześniej nie były dostępne lub wyobrażone – używając świeżych harmonii i nieoczekiwanych brzmień. Ojciec uważał, że Debussy jest największym następcą Chopina pod tym względem, choć w przeciwieństwie do niego



Ewa (z prawej) i Alina Rubinstein, II Rubinstein Piano Festival, Łódź 2011, fot. Juliusz Multarzyński

Debussy wywyższał walory słuchowe nad treściami muzycznymi. Uznanie Chopina przez Debussy'ego skłoniło go do poświęcenia trzech lat na zredagowanie całego muzycznego dorobku polskiego kompozytora;

3 – **odwracając uznane scholastyczne podejście do pedagogiki fortepianu** (bez pisanie na ten temat teorii), dokonując „wyemancypowania pianisty od służby pedantycznym kanonem” (jak ułożyć i używać rąk, palców, łokci itp.) i otwarcia drzwi do rozwoju indywidualnej wolności w dziedzinie gry na fortepianie. Ojciec uważał, że szczególne podejście do muzyki Chopina wymaga przekazania jej „magii”, zrozumienia, że (w przeciwieństwie do Liszta) liczy się każda uwaga kompozytora. Chopin był „zainteresowany tylko ideą muzyczną, a techniczne trudności wykonawcze jego dzieł są logicznie nieodłączne od jego myśli” (cyt. ze wstępu do książki Wierzyńskiego, 1949) – to wymaga dużo intensywniejszego i trwałego wysiłku, który odrzuca wirtuozowskie fragmenty, nie tak istotne dla podstawowej koncepcji muzycznej.

Podsumowując

Ojciec kochał Chopina całym sercem i odkrył, że jego ogólnoswiatowa publiczność – w Japonii, Chinach, Ameryce Południowej, Europie, Stanach Zjednoczonych – zawsze reagowała najbardziej emocjonalnie na każde dzieło Chopina, które grał. Oczywiście ojciec uwielbiał również Brahmsa i Schuberta – i wszystkich kompozytorów, których muzykę grał. Szanował

też wielu kompozytorów których dzieł nie wykonywał; uważał, że nie mógłby oddać im sprawiedliwości, na jaką zasłużyli!

Jako jego córka i być może także dlatego, że jestem lekarzem psychoanalitykiem, uważam, że ojciec naprawdę głęboko utożsamiał się z Chopinem jako rodakiem, który w młodym wieku opuścił Polskę, ale zachował polskiego ducha w swoim sercu na zawsze. Myślę, że ojciec rozumiał i identyfikował się z siłą, mocą i geniuszem muzyki Chopina, chociaż wspominał, że mógłby nie polubić go tak bardzo jako przyjaciela! Być może silne odrzucenie przez mojego ojca poglądów, jakoby utwory Chopina odzwierciedlały osobowość kompozytora „słabego, romantycznego, zniewieściałego”, które panowały, gdy ojciec był młodszy, ma również związek z silnym polskim patriotyzmem ojca. Czuję, że musi zaprzestować przeciwko ciągłemu prześladowaniu Polski, kraju podzielonego przez większe potęgi, a także podtrzymywać wrodzoną polską siłę, niezależność i niepowtarzalnego ducha poprzez wykonawstwo muzyki Chopina.

Alina Rubinstein, Łódź, X 2017
tłum. Natalie Moreno-Kamińska

* Wczesne wariacje Chopina na temat Mozarta „La ci darem la mano” op. 2. Kompozytor podziwiał klarowność Mozarta, perfekcję formy, ekspresję emocji „bez uciekania się do obcych środków”. Preludia Chopina napisane są we wszystkich dwudziestu czterech tonacjach, jak zrobił to Bach ze swoimi Preludiami i fugami.

Portret Ewy Rubinstein

W trakcie V Rubinstein Piano Festivalu, we wtorek 17 października 2017 roku, w Muzeum Miasta Łodzi (dawny pałac Poznańskich) miała miejsce uroczystość przekazania w wieloletni depozyt obrazu olejnego – portretu Ewy Rubinstein autorstwa Mojżesza Kislinga. Obraz przekazali państwo Małgorzata i Jerzy Czubak z Łodzi, jest ich własnością. Został zawieszony w pałacowych salach odremontowanej Galerii Muzyki im. Artura Rubinsteina, urządzanej na pierwszym piętrze muzeum.

Obraz ma format 49,5 x 38 cm, przedstawia dziewczynkę o błękitnych oczach i blond włosach związanych w zwisające z przodu warkocze. Tą dziewczynką jest Ewa Rubinstein (ur. 1933), córka słynnego pianisty Artura Rubinsteina i jego żony Anieli z Młynarskich. Obraz namalowany został w 1942 roku, sygnatura w prawym górnym rogu: Kisling, Los Angeles, 1942. Według relacji Pani Ewy, jej ojciec kochał sztukę, był bibliofilem, miał kolekcję obrazów, kupował je na aukcjach, zamawiał u znajomych zaprzyjaźnionych wielkich malarzy ale i pomagał tak w czasie wojny wielu artystom, którzy namalowali mu wiele ciekawych płócien. Kisling – zwany przez bliskich „Kiki”, wielki przyjaciel Rubinsteinów, zaprzyjaźnili się jeszcze w międzywojennej Francji – namalował ten portret w domu Rubinsteinów w Los Angeles, w Brentwood. Mieszkali tu od 1941 r. po przeprowadzkę z Nowego Jorku; z Paryża musieli uciekać przed Niemcami we wrześniu 1939 r. Pani Ewa mówiła mi, że podczas pozowania do portretu, Kisling posadził ją



na krześle przy oknie w stołowym pokoju i nie pozwolił się ruszać, a malowanie trwało kilka dni po dwie godziny. Była zła, zmęczona, drapała ją w szyję krynoliny od sukienki i fartuszek, słyszała jak na podwórku dzieci bawią się i śmieją, biegają radośnie..., okropnie cierpiała; miała 9 lat. Była cała nieszczęśliwa i zrobiła buńczuczną minę – co widać na obrazie.

Portret wisiał w domach Rubinsteinów w Los Angeles – potem w Beverly Hills, w Nowym Jorku, wreszcie w Paryżu. Po śmierci ojca (1982) obraz przypadł p. Ewie, zapisany jej w testamentcie.

Mojżesz Kisling (1891-1953) był polskim Żydem, urodził się w Krakowie, studiował u Józefa Pankiewicza na krakowskiej ASP a następnie w Paryżu, walczył w czasie I wojny światowej i był ciężko ranny, otrzymał obywatelstwo francuskie. Przyjaźnił się m.in. z Chagallem, Picasse, Modiglianem, Melą Muter, Romanem Kramsztykiem, Tadeuszem Makowskim i wieloma innymi artystami z kręgu École de Paris. Na Montmartre zaprzyjaźnił się oczywiście i z Rubinsteinem. Kisling otrzymywał w Paryżu stypendium od anonimowego mecenasa, podobno rosyjskiego.

W czasie II wojny światowej wstąpił znów do wojska francuskiego, po zwolnieniu wyjechał w 1940 r. do Stanów Zjednoczonych. Zamieszkał w Nowym Jorku, skąd w 1942 r. Rubinstein zaprosił go do siebie do Los Angeles, do Hollywood – gdzie przebywał rok. Po wojnie wrócił do Francji, tam zmarł.

Malował pejzaże, portrety, akty kobiece. Jak widać po portrecie Ewy Rubinstein, malował też bardzo realistycznie. Ceny jego obrazów osiągają w Polsce duże kwoty, np. portret *Ingrid*, olej na płótnie 111 x 83 cm z 1932 r., sprzedano na aukcji w Domu Auk. „Polswiss Art” w Warszawie 10 października 2017 za 2.950.000 zł.

Wracając na chwilę jeszcze do Kalifornii, Rubinsteinowie w 1941 r. zamieszkali tam najpierw w wynajętym mieszkaniu i szukali dużego ładnego domu. Zakupili taki o hiszpańskiej architekturze ale – jak wspomina pani Ewa: „najbardziej urzekło i przekonało rodziców do tego domu 10 brzoź w ogrodzie, które przypominały Polskę i tworzyły polski klimat, dawały polskie powietrze. Było to w 1942 roku, dom przy ul. Marlboro 12921 w Brentwood, kupiony od aktora Pata O'Briena”. Tam powstał opisany obraz.

Wojciech Stanisław Grochowski



Wystawa książek Andrzeja Bartczaka

W Ośrodku Propagandy Sztuki w Łodzi, w parku im. H. Sienkiewicza 44 (Miejska Galeria Sztuki), od czerwca do września 2017 trwała wystawa prof. Andrzeja Mariana Bartczaka (ur. 1945) pt. „Księga / The Book / Le Livre”. Wystawa towarzyszyła 16. Międzynarodowemu Triennale Małe Formy Grafiki Polska-Łódź 2017; cała galeria, na obu poziomach dosłownie usłana była książkami artystycznymi Profesora. Na ścianach zawisły także jego obrazy i grafiki, artystycznie korespondujące z jego książką artystyczną. Była to wystawa retrospektywna, kolejna w tej galerii tego artysty, teraz obejmowała lata 1975-2017, a trzeba pamiętać, że pierwsze książki artystyczne A.M. Bartczaka to jest właśnie początek lat 70. XX wieku. Profesor jest polskim pionierem tej kategorii sztuki.

Tytułowa książka dominowała w liczbie obiektów na wystawie, a znając wielką artystyczną płodność i zasoby pracowni i magazynów artysty – była to tylko znikoma część jego książkowej twórczości. Książka u tego artysty – i tego artysty – jest dalszym etapem twórczym jeżeli chodzi o traktowanie cyklu wydawniczego, przekazywania myśli, kolejną formą książki ale bardziej poetycką. Jeżeli poeta potrafi wyrazić na jednej stronie, w jednym wierszu to, co pisarzowi zajmuje kilkanaście stron, to prof. A.M. Bartczak idzie dalej, i potrafi wyrazić na kilku kartach swojej książki całe kilkusetstronicowe

dzieło literackie. Nie wiem czy trafne jest nazwanie Profesora „poetą książki”, ale takie mam skojarzenia. Nasz papież Św. Jan Paweł II mówił, że poezja to wielka pani, której trzeba poświęcić się całkowicie. Myślę, że prof. Bartczak tworzy tak doskonale i mądre książki, bo poświęcił się całkowicie poezji, malarstwu i literaturze zarazem w tym co robi, w owych wydawniczych przedsięwzięciach. To nie są książki tylko do czytania – bo oczywiście jest w nich tekst autorski, ale są czymś więcej; są także obiektami przestrzennymi czy nawet instalacjami; są to collages, znajdziemy też w tych książkach, na ich kartach np. tkaniny czy porcelanę.

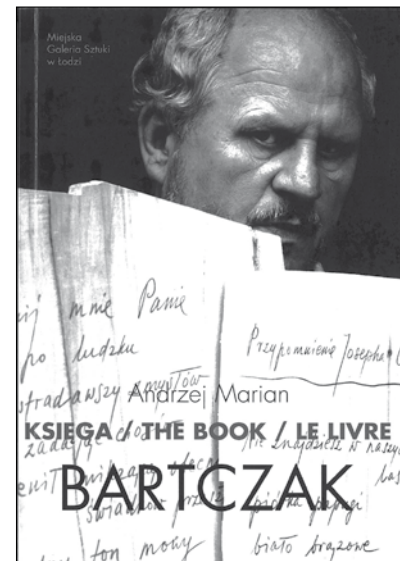
Książki – a właściwie księgi – pisane i rysowane przez Andrzeja M. Bartczaka mają unikatowy charakter, formę, format, nakład; są zupełnie inne niż te powszechnie nam znane – choć w dorobku Profesora są i książki (albumy) w formie powiedzmy bardziej standardowej i znormalizowanej. Wszystkie książki przez niego wydane – jak by to nie brzmiało – są wykonywane na raz w kilku technikach, są one zatem: pisane ręcznie (rękopis), są rysowane, zawierają strony z grafiką i w formie grafiki, są malowane, są wreszcie drukowane we wszelkich technikach a najbardziej w ulubionej przez artystę typografii; mają tłoczenia, są oprawiane introligatorsko. I to wszystko, te niemal wszystkie techniki druku zawarte są w jednym egzemplarzu, w jednej oprawie.

Tradycyjna „stara” książka drukowana ma utartą od setek lat stałą formę, u artysty książki unikatowej, artystycznej, nie jest to jedna forma. Zatem książki te mają formy „zwykłych” pojedynczych kart, jakichś stosów w pudełkach, rulonów, tek, składanek etc. Stosunkowo nowym i rozwijającym się wciąż pomysłem jest „Porcelanowa biblioteka”, czyli liczący już tysiące ceramicznych tablic zbiór dzieł A.M. Bartczaka. Tablice te mają taki sam format (zbliżony do kwadratu), zawierają cytaty własny artysty lub obcy plus komentującą porcelanową płaskorzeźbę, są bardzo dekoracyjne, można je zawieszać na ścianie. Zachęcam także czytających nas biznesmenów do zainteresowania się nimi, zawieszania ich w swoich biurach, promocji kultury.

W dwujęzycznym katalogu do wystawy (język polski i angielski) można znaleźć obszernie i pouczające eseje prof. Grzegorza Sztabińskiego i Janusza Zagrodzkiego. Są w nim też *Osobiste uwagi i wiersze autora tysięcy obiektów książkowych* napisane przez prof. Bartczaka. Jest tam kilka wierszy artysty, wśród nich ten ze stycznia 2017 r. pt. **Schowam się w książce:**

*Schowam się w książce
tam ukryję
drżącą ręką napisaną
sygnaturę*

*poukladam słowa
w karne szeregi*



*podobny do mnie
ukryty sens
nie będzie wam ukazany*

*księga jest jak falochron
jak dach domu
jak fartuch cyganki
pod którym
ukradziony młodszy brat
wedle tego
co rodzinna wieść niesie*

W końcu autorskiego tekstu do katalogu, artysta napisał w kwietniu 2017:

– „Niekiedy myślę, że wobec postępującej degradacji czytania, książka artystyczna – książka artysty, rozumiana jako dzieło prawdziwej sztuki, ma pewne szanse i będzie mogła spełnić najbardziej wyszukane humanistyczne, intelektualne i estetyczne oczekiwania.

Z takim, nieco patetycznym przekonaniem, wciąż pracuję”.

Według zapowiedzi wystawy przez Miejską Galerię Sztuki: „Ekspozycja pokaże kilkadziesiąt obiektów książkowych artysty, mających swoje odniesienia przede wszystkim do działalności wybitnych twórców kultury polskiej i światowej: pisarzy, zwłaszcza poetów (Cyprian Kamil Norwid, Adam Mickiewicz, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Julian Tuwim, Zbigniew Herbert, Tadeusz Różewicz), muzyków (Fryderyk Chopin, Wojciech Kilar), artystów (Władysław Strzemiński, Pablo Picasso, Hans Arp, Joseph Cornell)”.

Kuratorami wystawy byli Małgorzata Dziegielewska i Władysław Jagiełło. W. Grochowski

Amcor Tobacco Packaging Polska

ul. Aleksandrowska 55, 91-205 Łódź, tel: +48 42 61 38 138; fax: +48 42 61 38 139



amcor



Amcor, ul. Aleksandrowska 55



Amcor, Nowy Józefów

V Rubinstein Piano Festival

Moje jubileuszowe refleksje dyrektora

Festiwal odbywał się od 16 do 21 października 2017 roku, koncerty zagrano w Łodzi, Częstochowie, Wieluniu i Rawie Mazowieckiej. Organizatorem jubileuszowego festiwalu im. Artura Rubinsteina w Łodzi była w tym roku Fundacja Kultury i Biznesu przy ścisłej współpracy z Międzynarodową Fundacją Muzyczną im. A. Rubinsteina. Obie fundacje zajmują się promocją kultury polskiej, nie prowadzą działalności gospodarczej, oboma zarządza autor tego tekstu – Wojciech Stanisław Grochowski. Pierwszy festiwal odbył się w 2008 roku, drugi w 2011, trzeci – 2013, czwarty – 2015. Niniejszy tekst jest refleksyjnym i trochę emocjonalnym podsumowaniem festiwalu w nawiązaniu do poprzednich edycji, autorskim także z uwagi na jedną osobę – autora tekstu, dyrektora festiwalu i prezesa fundacji organizującej go.

Patronat honorowy nad V festiwalem objął Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda i Małżonka Prezydenta Agata Kornhauser-Duda, gośćmi honorowymi były mieszkające w Nowym Jorku córki Artura Rubinsteina – Ewa i Alina Rubinstein, obie panie mieszkają w Nowym Jorku. Organizację festiwalu dofinansowali: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Urząd Miasta Łodzi, Bank Zachodni WBK Grupa Santander, firma Amcor Sp. z o.o., firma Atlas Sp. z o.o., Pan Jerzy Czubak, PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna SA, Województwo Łódzkie (koncerty finałowe), Wodo i Partnerzy Adwokacka Spółka Partnerska. Dla informacji podam, że dotacje z konkursów dla festiwalu regularnie spadają; i tak, prezydent miasta Łodzi przekazał na festiwal w: 2008 roku – 300 tys.; 2011 – 400 tys., 2013 – 170 tys., 2015 – 170 tys.; marszałek województwa: 2008 – 370 tys., 2011 – 0 zł, 2013 – 90 tys., 2015 – 47 tys. zł.

Jubileuszowy festiwal przypadł w roku okrągłych rocznic: 130. urodzin i 35. rocznicy śmierci Artura Rubinsteina (1887–1982), jednego z największych pianistów świata, artysty urodzonego w Łodzi, zmarłego w Genewie. W trakcie festiwalu, w piątek 20 października oddano także rocznicowo hołd wielkiemu włoskiemu dyrygentowi – Arturo Toscaninemu, z którego akompaniamentem Rubinstein także grał, nagrali na płytę *III koncert fortepianowy Beethovena*.

Festiwal interdyscyplinarny

Siłą tego festiwalu jest wielorodność wydarzeń, jego interdyscyplinarność. Jest przede wszystkim muzyka, ale i pokazywanie w jego trakcie i odkrywanie Artura Rubinsteina na wielu mniej znanych polach życia społeczno-kulturalnego. Przybliżono Rubinsteina m.in. poprzez pięć nowych wystaw związanych z nim tematycznie,

były kursy mistrzowskie, konferencje prasowe, seminaria, prelekcje i wykłady, projekcje filmów dok. muzycznych, prezentacja baletowa i inne. Z wielu wydarzeń zrezygnowano a wiele ze zrealizowanych miało mniejszy zakres z uwagi na ograniczenia finansowe. Podczas festiwalu miała miejsce ogólnopolska premiera nowego filmu dokumentalnego o Arturze Rubinsteinie (30 min) pt. *Polski patriotyzm Artura Rubinsteina* w reż. Wojciecha Stanisława Grochowskiego. Córki artysty mówiły w Muzeum Miasta Łodzi i w Centrum Dialogu im. Marka Edelmanna o ojcu, rodzinie, Chopinie, pianistyce. Goście festiwalu poznali bliżej Rubinsteina m.in. jako bibliofila, kolekcjonera i miłośnika książek, właściciela dużej domowej biblioteki w Paryżu. Pianistę pokazałem też rodzinie – jako męża, ojca i dziadka; Rubinsteinowie mieli pięcioro dzieci: Ewę (1933), Pawła (1935), Alinę (1945), Johna (1946), Feliksa (1953, zmarł po 24 godzinach życia). Na wystawie planszowej w filharmonii łódzkiej przypominałem aktywność fundacji Artura Rubinsteina od 2007 roku – który Sejm RP na wniosek fundacji ogłosił Rokiem Artura Rubinsteina. Była wystawa fotograficzna pokonkursowa oraz gościnny pokaz zdjęć Ewy Rubinstein, Ryszarda Horowitza i Czesława Czaplińskiego w ŁTF.

Jako że pani Ewa Rubinstein jest wielkim smakoszem (doskonale gotuje), wieczorne późne kolacje z siostrami Rubinstein i artystami festiwalu przybyłymi z całego świata organizowałem także pod kątem tych gości, ich różnych kuchni narodowych i smaków. Wieczorami artyści omawiali koncerty, wymieniali uwagi i opinie, poznawali się bliżej, snuli artystyczne plany; młodzi artyści poznawali osobiście tych utytułowanych.

Wykonawcy piątego festiwalu

Do udziału w jubileuszowym festiwalu Rubinsteina zaproszono: dziewięciu pianistów, dwie orkiestry symfoniczne, jeden zespół kameralny. Zapowiadane wielkie jubileuszowe plany organizacyjne musiały zostać skorygowane z uwagi na brak właściwego dofinansowania festiwalu.

Pianiści V festiwalu – Yulianna Avdeeva (ur. 1985), pochodząca z Rosji, rezydująca w Niemczech; Sergei Babayan (1961), Armenia/USA; Federico Colli (1988), Włochy; Kirill Gerstein (1979), Izrael/Niemcy; Alexander Korsantia (1965), Gruzja/USA; Paweł Wakarcy (1987), Polska; Tomasz Ritter (1995), Polska; Jakub Kuszlik (1996), Polska; Denis Zhdanow (1988), Ukraina.

Orkiestry symfoniczne (pierwotnie miały być trzy, ale z powodów finansowych zaprosiłem tylko dwie) – Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej im. Bronisława Hubermana,

dyrygent Adam Kłoczek, Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina, dyrygent Marcin Nałęcz-Niesiołowski.

Zespół kameralny – Stradivari Quartett ze Szwajcarii, wszyscy znakomici muzycy grają na instrumentach Antonia Stradivariego. Primariuszem kwartetu jest Xiaoming Wang, w zespole grają: Sebastian Bohren – skrzypce, Lech Antonio Uszyński – altówka, Maja Weber – wiolonczela.

Kursy mistrzowskie prowadzili: prof. Andrzej Jasiński (w Zespole Szkół Muzycznych im. Stanisława Moniuszki przy ul. Rojnej) i prof. Alexander Korsantia w Akademii Muzycznej im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów w Łodzi. Wykłady i prelekcje wygłosili: prof. Katarzyna Popowa-Zydroń (o pianistyce polskiej, pianistach, konkursach), red. Adam Rozlach (o współpracy Rubinsteina i Toscaniniego), maestro Łukasz Borowicz (o sztuce akompaniamentu), a mgr Natalie Moreno-Kamińska (o interdyscyplinarności festiwalu).

Koncerty prowadzili: Agata Kwiecińska, Adam Rozlach, Leszek Bonar, Janusz Janyst.

Miejsca koncertów i głównych wydarzeń: Filharmonia Łódzka im. Artura Rubinsteina, Filharmonia Częstochowska im. Bronisława Hubermana, Akademia Muzyczna im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów w Łodzi, Muzeum Miasta Łodzi, Centrum Dialogu im. Marka Edelmanna, kościół ewangelicko-augsburski w Łodzi, Muzeum Ziemi Wieluńskiej (Ożarów), Miejski Dom Kultury im. Danuty Siedzikówny „Inki” w Rawie Mazowieckiej, Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego, Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne, Hotel Grand w Łodzi.

Program muzyczny festiwalu

Zgodnie z moim życzeniem, dwa koncerty symfoniczne zawierały po dwa koncerty fortepianowe – to już będzie stale realizowana podczas kolejnych festiwali kolejna tradycja rubinsteinowska. W poniedziałek 16 października, w koncercie otwarcia Yulianna Avdeeva wykonała z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Częstochowskiej *XX koncert fortepianowy d-moll* W.A. Mozarta, a po przerwie *II koncert fortepianowy f-moll* F. Chopina. Dyrygent Adam Kłoczek rozpoczął koncert uwerturą do opery „Don Giovanni” Mozarta. W również galowym koncercie w piątek 20 października, znakomity włoski pianista (29 lat), mający w Polsce już rzesze fanów, Federico Colli, z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Łódzkiej wykonał dwa koncerty fortepianowe L. van Beethovena: *III koncert c-moll* i *V koncert Es-dur*. Dyrygent Marcin Nałęcz-Niesiołowski rozpoczął koncert uwerturą do opery „Fidelio” L. van Beethovena.

Od wtorku 17 do czwartku 19 października w Filharmonii Łódzkiej im. A. Rubinsteina odbywały się wieczorne mistrzowskie recitale fortepianowe znakomitych i legendarnych pianistów: Sergeja Babayana (wtorek 17 X), Kirilla Gersteina (śr. 18 X) i Alexandra Korsantii (czw. 19 X). Babayan przygotował duży i trudny program tak dla wykonawcy, jak i dla odbiorcy, ten wspaniały pianista dał dwa dwuczęściowe recitale: w filharmonii łódzkiej 17 i w filharmonii częstochowskiej 18 października.

17 października muzyka Chopina zabrzmiała w Muzeum Miasta Łodzi w popołudniowym recitalu Pawła Wakarecego, nagrodzonego w Konkursie Chopinowskim w Warszawie w 2010 roku. Pianista znakomicie zagrał: preludia, polonezy, wale, mazurki, nokturny.

Pierwotnie chciałem zorganizować takie chopinowskie wydarzenie w dworku w Żelazowej Woli, pojechać tam z siostrami Rubinstein i zagranicznymi gośćmi festiwalu, spotkać zaproszonych gości VIP z Warszawy i w południe uczcić recitalem P. Wakarecego rocznicę śmierci kompozytora. Po koncercie oprowadzilibyśmy gości po dworku, następnie zaprosilibyśmy wszystkich na obiad do tamtejszej restauracji... Moja propozycja złożona do NIFC (właściciela dworku) niby spotkała się z aprobatą, ale niedane mi było to zrealizować. Zostaliśmy więc w Łodzi i recital chopinowski miał miejsce w równie przepięknym miejscu – w Sali Lustrzanej Muzeum Miasta Łodzi (dawny Pałac Poznańskich).

W Muzeum Miasta Łodzi miał też miejsce półrecital Denisa Zhdanowa (R. Schumana *Fantazja C-dur* op. 17), zagrany w czwartek po południowej ogólnopolskiej premierze filmu *Polski patriotyzm Artura Rubinsteina*. Na filmie wypowiedział się m.in. Zbigniew Brzeziński, który udzielił wypowiedzi do tego filmu w 2016 roku.

W sobotę 21 października, w kawiarni muzeum odbyło się spotkanie prof. Katarzyny Popowej-Zydroń z melomanami (vide zdjęcie), po nim, w finale festiwalu zaprezentowano tu muzykę kameralną i w Sali Lustrzanej spotkali się po raz pierwszy szwajcarski kwartet smyczkowy Stradivari Quartett i Alexander Korsantia. Wielu melomanów twierdziło, że był to najlepszy koncert, na jakim byli w Polsce w 2017 roku. Po koncercie było wspólne z córkami Maestra zwiedzanie sal z pamiątkami po ich wielkim ojcu. Panie komentowały niemal każdą pamiątkę, każdy mebel, obraz, strój czy order ojca, zdjęcia, dokumenty... Ta Galeria Muzyki im. A. Rubinsteina należy niewątpliwie do najpiękniejszych miejsc muzycznych na świecie, a po odnowieniu – choć straciła jedną salę – zyskała blask i nowe gabloty do ekspozycji. Żal, że tak słabo przez Łódź promowana.



Gratulacje po prezentacji baletowej w wyk. uczniów Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. F. Parnella w Łodzi, 20 X 2017, w przerwie koncertu. Fot. Dariusz Kulesza



Ewa i Alina Rubinstein wpisują się do książki pamiątkowej Filharmonii Łódzkiej im. A. Rubinsteina, 20 X 2017. Fot. Dariusz Kulesza



Prof. Katarzyna Popowa-Zydroń, Muzeum Miasta Łodzi, 21 X 2017. Fot. Dariusz Kulesza

Pani Ewa Rubinstein zdecydowała, że można już eksponować przechowywany od lat w magazynie Muzeum piękny obraz – tryptyk rubinsteinowski, namalowany do willi pianisty w Los Angeles w 1948 roku przez Eliasza Kanarka (czytaj o tym w „Kultura i Biznes” nr 67/2016). Drugim wydarzeniem w sferze malarstwa było przekazanie w depozyt Muzeum Miasta Łodzi obrazu olejnego – portretu Ewy Rubinstein, namalowanego przez Mojżesza Kislinga w Kalifornii w 1942 roku.

Na zlecenie fundacji, red. Leszek Bonar (TVP3 w Łodzi) zrealizował film (reportaż) o V festiwalu, do obejrzenia m.in. na stronie www.kulturaibiznes.pl w zakładce Foto/YouTube.

Gorzki smak sukcesu.

Kłopoty nie tylko finansowe festiwalu

Od początku organizacji festiwalu – jedynego na świecie imienia wielkiego Artura Rubinsteina, fundacja Rubinsteina spotyka się (głównie w Łodzi) z trudnościami finansowymi, nie ma stałego wsparcia, żadnych gwarancji – jakie np. Miasto zapewniło ostatnio panu Janowi A.P. Kaczmarkowi (festiwal Transatlantyk) gwarantując mu na początku 4 mln zł dotacji rocznej a następnie co roku po 3 mln zł; bez konkursów! Żaden – ani łódzki ani centralny – urząd nie chce objąć festiwalu Rubinsteina stałym finansowaniem, organizator musi każdorazowo składać wnioski o finanse, nie mając nigdy gwarancji że je otrzyma, albo jaką część urzędnicy będą łaskawi przydzielić; i tak z wnioskowanej kwoty np. 500 tys. przyznają np. 100 tys. często w ostatniej chwili. Organizator musi więc dokonywać cięć programowych, szukać np. tańszych (za przeproszeniem) orkiestr, prosić wielkich pianistów aby udzielili rabatu; trzeba zebrać po prostu; jakież to upokarzające! A to w przypadku Rubinsteina nie przystaje! Poza tym Polska jest mu bardzo dużo winna – zapomina się o jego wielkim polskim patriotyzmie, jak pięknie bronił na świecie naszej godności i honoru, o promowaniu polskiej muzyki i kultury (Chopin, Paderewski, Szymanowski, Maciejewski i in.), o podarowaniu Polsce milionowej wartości pamiątek przez pianistę i jego rodzinę – ot choćby te w Muzeum Miasta Łodzi.

Rodzina Rubinsteinów bardzo ceni ten festiwal, przekazała imiennie mnie pełnomocnictwa do nazwiska a jest ono prawnie chronione, także festiwal jest zastrzeżony.

Kiedyś jeden z wysokich polityków powiedział mi, że ja za dużo robię! „Organizuje pan to wszystko sam, i wielki festiwal muzyczny Rubinsteina, i duże wydarzenia na świecie (Rapperswil, Paryż, Bruksela, Nowy Jork, Genewa), capstrzyki i Koncerty Niepodległościowe, chce pan wydawać patriotyczną gazetę kulturalną – nie wiadomo, na co dać panu pieniądze”. Pomyślałem: a dlaczego nie na wszystko?! Robię to dla Łodzi i Polski. Politycy myślą pewnie inaczej, zatem najlepiej nie dać na nic! A prawda jest taka: ten festiwal jest na bardzo wysokim poziomie artystycznym co potwierdza wiele osób, także artyści czy córki A. Rubinsteina, powinien być pianistyczną festiwalową wizytówką Łodzi a może i Polski. Wszystko jest dopilnowane, organizowane na razie przeze mnie – jedną osobę – ale oczywiście mam wsparcie mojego „sztabu” – tu podziękowania za stałą współpracę dla pani Agnieszki Trocha i Natalie Moreno-Kamińskiej. Ale od początku wiele osób (w tym urzędników) chce ten autorski i zastrzeżony festiwal „przejąć”, zabrać go nam. A czemu nie zorganizowali tego – pytam – przez 30 lat jakie miały po śmierci Rubinsteina? Także kolejne dyrekcje filharmonii łódzkiej (mimo, że mamy wspólnego patrona) przeszkadzają jak mogą, aby mi się nie udało. W przypadku piątego festiwalu, dyrektor filharmonii Tomasz Bęben umowę z fundacją o współpracy, wynajmie sal na koncerty etc., podpisał ze mną dopiero 15 września (!) 2017 – miesiąc przed festiwalem!, i to po definitywnym moim zagrożeniu, że gdy jej nie podpisze (do jakiegoś dnia) to przeniosę festiwal w inne miejsca – poza filharmonię. Nie otrzymałem też dużej sali koncertowej na sobotę 21 X na koncert finałowy – bo niby była zajęta (była wolna!), zatem drugi koncert symfoniczny festiwalu zorganizowałem w filharmonii w piątek – o co bardzo zabiegał dyrektor, gdyż traktował go jako koncert własny, muzycy mieli „wyrobione normy” koncertów w miesiącu. Zapowiadano go


**RUBINSTEIN
PIANO
FESTIVAL®**

PIANIŚCI



YULIANNA AVDEEVA



SERGEI BABAYAN



KIRILL GERSTEIN



ALEKSANDER KORSANTIA



FEDERICO COLLI



PAWEŁ WAKARECY



DENIS ZHDANOV



TOMASZ RITTER



JAKUB KUSLIK

V RUBINSTEIN PIANO FESTIVAL, ŁÓDŹ, 16-21 X 2017

**FUNDACJA
KULTURY i BIZNESU**

Międzynarodowa Fundacja Muzyczna
 im. Artura Rubinsteina
 ul. Półkowska 112, 90-007 Łódź
 tel. 42 632 719 38, fundacja@arturrubinstein.pl
www.arturrubinstein.pl

na stronie internetowej filharmonii jako wielkie wydarzenie w filharmonii i koncert finałowy festiwalu (!) – nie był to finał. Tuż po tym koncercie filharmonia ogłosiła światu na tej stronie, że zorganizowała piękny koncert z udziałem Federico Colli („mojego” festiwalowego pianisty!), zamieściła bezprawnie nasze (fundacji!) zdjęcia! itd., itd., itd. Można by się cieszyć ze wspólnego sukcesu, ale on nie był tam pokazany jako wspólny, pominięto informacje, że był to koncert festiwalu, autorski, wymyślony, przygotowany, opłacony przez fundację jako organizatora koncertu i festiwalu. Inne sprawy „z przeszkadzaniem” opiszę w osobnym tekście w następnym numerze „Kultury i Biznesu”. Żal to pisać, ale...

Szczegółowe i merytoryczne informacje o piątym festiwalu zamieszczono w artykułach red. Adama Rozlacha i p. Natalie Moreno na dalszych stronach, zdjęcia i filmy na stronach intern.: arturrubinstein.pl kulturaibiznes.pl

Wojciech Stanisław Grochowalski



Koncert finałowy kameralny, Stradivari Quartett i Alexander Korsantia (fortepian, brak pianisty na zdjęciu), Muzeum Miasta Łodzi 21 X 2017. Fot. Dariusz Kulesza

Adam Rozlach

V festiwal pianistyczny im. Artura Rubinsteina w Łodzi

Wzruszenia i fascynacje...a

Po raz piąty Łódź czciła pamięć wielkiego artysty Artura Rubinsteina, na kilka dni stając się stolicą pianistyki. Cieszy bardzo, że publiczność – bodaj najliczniej jak dotąd – odwiedzała miejsca festiwalowych koncertów aby wysłuchać zaproszonych laureatów międzynarodowych konkursów ze szczególnym – co naturalne – uwzględnieniem zwycięzców i zdobywców głównych nagród dwóch konkursów imienia największego łodzianina wszechczasów: w Tel Awiwie oraz w Bydgoszczy.

Na Rubinstein Piano Festival od początku zaprasza gości Wojciech Grochowalski – pomysłodawca i nieomal jedynym osobowy realizator wszystkich pomysłów, a nie trzeba chyba przypominać, że podczas każdego z festiwali, również i w tym roku, odbywa się nie tylko kilkanaście recitali i koncertów z orkiestrami, nie tylko w Łodzi ale daleko poza nią, np. w Częstochowie, gdzie organizowane były wokółfestiwalowe wydarzenia ważne i ciekawe. Przybyły jak zawsze niezawodnie córki Państwa Anieli i Artura Rubinsteinów: Ewa i Alina, słuchały wszystkich festiwalowych koncertów, spotykały się z uzdolnioną młodzieżą; wspólnie z nimi oglądaliśmy rodzinną wystawę fotograficzną, film z *Maestro* w roli głównej w reż. Marii Claire Margossian oraz wzruszający filmowy obraz w reż. W. Grochowalskiego o polskim patriotyzmie Mistrza Artura (widziałem siedzących obok mnie melomanów dyskretnie wycierających łzy wzruszeń...). Otwarto też nową aranżację *Galerii Muzyki im. Artura Rubinsteina* w Muzeum Miasta Łodzi, gdzie mogliśmy podziwiać najnowszy nabytek Galerii – obraz olejny kilkunastoletniej Ewy Rubinstein, który zakupili Państwo Małgorzata i Jerzy Czubakowie, jak zawsze główni dobrodzieje Festiwalu. W bogatym programie było jeszcze seminarium *Sztuka akompaniamentu* prowadzone przez Łukasza Borowicza, kursy mistrzowskie w Szkole Muzycznej przy ul. Rojnej prowadził prof. katowickiej Akademii Muzycznej Andrzej Jasiński, a w Łódzkiej Akademii lekcji udzielał Aleksander Korsantia, profesor Konserwatorium *The New England* w Bostonie. Do organizacji Festiwalu włączyła się także Biblioteka UŁ gdzie odbył się wernisaż wystawy *Rubinstein bibliofilsko* oraz wykład o interdyscyplinarności *Rubinstein Piano Festival* Natalii Moreno-Kamińskiej. Odbył się jeszcze – przy pełnej sali – uroczysty koncert symfoniczny dedykowany *Maestro Arturo Toscaniniemu*, w 150. rocznicę jego urodzin i 60. śmierci oraz wykład piszącego te słowa o jedynym wspólnym ich koncercie w Nowym Jorku 29 XI 1944 r. Rubinstein, nie chcąc odmówić o 20 lat starszemu wielkiemu dyrygentowi, zaraz po zagranii pod jego batutą *III Koncertu* Beethovena, wziął taksówkę aby w *Carnegie Hall* dać o wiele wcześniej zaplanowany recital. Wyznał potem w pamiętnikach, że nigdy jeszcze nie grał Chopina z większym entuzjazmem!

Wiele się działo podczas tego piątego już święta pianistyki. Wystąpiły ciekawe indywidualności. Przede wszystkim grali młodzi pianiści, wciąż zbierający cenne, koncertowe doświadczenie ale już nagrodzeni na konkursach. Grali i ci szeroko już znani i cenieni w pianistycznym świecie. Niewątpliwie amerykański Ormianin Siergiej Babajan stał się spośród grona piani-

stów występujących na Festiwalu postacią najważniejszą. Jego recital wzbudził moje uznanie i największy szacunek; zostawił też nam bodaj najwięcej muzycznych i artystycznych wrażeń. Zaraz potem. mniej więcej na równi, stawiam znakomite występy Julianny Awdiejewej, Aleksandra Korsantii i Kiryła Gersteina (to zwycięzcy obu konkursów rubinsteinowskich).

zwycięzcy nie tylko *Konkursu Rubinsteina* w Bydgoszczy ale i jak wiemy *XVI Konkursu Chopinowskiego* w Warszawie (2010). Gra już w wielu ważnych miejscach choć jeszcze nie w tych najważniejszych, dysponuje sporym repertuarem, i to gra na bardzo wysokim poziomie (np. fantastycznie dzieła Prokofiewa). Jak na zwyciężczynię *Konkursu Chopinowskiego* jej kariera nie nabrała jeszcze tych rumieńców, które moglibyśmy porównać do większości triumfatorów tego Konkursu z Argerich, Pollinim czy Zimermanem na czele. Pamiętamy doskonale nasze wątpliwości związane z jej sposobem podejścia do Chopina – nazbyt rzeczywistym, mało śpiewnym ale pogodziłyśmy się chyba z tym, że być może

dźwiękowych, gdzie nie było żadnych nachalności czy jakichkolwiek ostrości tonu. Słuchając jej gry utwierdziłem się w przekonaniu, że jej artystyczna i pianistyczna klasa wymaga szacunku! Po występie pogratulowałem Jej wykonaniu obu dzieł. Pokazała – nie tylko bardzo dobrą pianistykę ale też wiele pięknie i wrażliwie zagranych – dźwiękowo i muzycznie – fraz...

Bohaterem drugiego dnia ale i całego Festiwalu był **Siergiej Babajan**. Przyznam, że trochę się obawiałem poziomu jego występu bo wszak to bardzo wzięty pedagog, może i jeden z naj-



Koncert galowy festiwalu, 20 X 2017, sala koncertowa Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Łódzkiej im. A. Rubinsteina, dyrygent Marcin Nałęcz-Niesiołowski, solista Federico Colli, fot. Dariusz Kulesza

Po raz pierwszy wystąpił w Łodzi pianista jeszcze tu nieznany, którego gry i sztuki interpretacyjnej słuchałem w Dusznikach już dwukrotnie w ostatnich kilku latach – to 29-letni Włoch Federico Colli, zwycięzca ciągle prestiżowego Konkursu w Leeds, który na fortepianie gra wyśmienicie, zachwycając za każdym razem swoimi wizjami muzyki, swoją niecodzienną wrażliwością. W Łodzi zagrał dwa Koncerty Beethovena: *Trzeci* i *Piąty*, i nie wywarł już na mnie takiego wrażenia jak w Dusznikach.

Festiwal zainaugurowała **Julianna Awdiejewa**, pianistka uznana przez pianistyczny świat,

takiego Chopina oczekują dziś nawet pianiści, których interpretacje dzieł Mistrza Fryderyka ceniliśmy i cenimy bezwarunkowo, a którzy w końcu przyznali Jej ten najwyższy laur. Tak czy inaczej, słucham Jej gry od tego czasu regularnie i za każdym razem zauważam jakieś dobre strony jej chopinistyki. Bodaj najwięcej znalazłem ich tu w Łodzi, gdzie grała *Koncert f-moll*, w którego ujęciu potrafiła nawet zauroczyć bardzo wrażliwym podejściem do tej tak delikatnej tu muzyki, potrafiła grać pięknym tonem, ślicznie podsumowując występ bisem *Nokturnu cis-moll op. posth.* gdzie lewy pedał dodawał temu ujęciu ciekawej brzmieniowej mgiełki. Jeszcze bardziej podobał mi się jej Mozart (*Koncert d-moll KV 266*), w którym okazały się płynęły perełki figur

bardziej dziś cenionych, do którego przylatują zastępy pianistów z całego świata – z Daniłem Trifonowem na czele. Od początku jednak ta wątpliwość została rozwiana – był nie tylko znakomicie przygotowany ale i przywiózł szalenie ciekawy program: utwory Paerta, Liszta, Bacha, Chopina, Rachmaninowa i jednego jeszcze współczesnego kompozytora rosyjskiego: Władimira Riabowa (ur. 1950). Był to dość misternie złożony program, połączony różnymi nitkami, pomysłami, tonacjami, nastrojami itd.: był mistyczny i pełen barw Paert (*Aria dla Aliny*, po którą sięga też np. konkursowy ulubieniec z Łotwy Gieorgijs Osokins), była pianistycznie pełnowymiarowa *II Ballada b-moll* Liszta, zagrana bez żadnej taryfy ulgowej, na miarę najpoważniejszych recitali.

Trochę jednak nie pasowała do tego propozycja Riabowa *Fantazja c-moll op. 21*. Była to dziwnie „płynąca” muzyka, rozchodząca się w najróżniejszych kierunkach, jakby improwizowana przez pianistę, w której autor zawarł kilka cytatów z literatury muzycznej: był jakiś *księżycowy* Beethoven, był Liszt, był motyw bodaj z *Fantazji* Schumanna. Do tego Riabow dołączył tam nieco „wykrzywioną” fugę, a wszystko wedle jakby jednego tylko schematu: sygnał znanego motywu, a potem *odlot*, nie bardzo wiadomo dokąd – to była taka trochę pianistyczna *hala odlotów*. Sądząc z dedykacji, pamięci Marii Judiny, wielkiej rosyjskiej pianistki, była to prawdopodobnie jakaś współczesna retrospektywa jej repertuaru, spojrzenie na nią i jej dzieło. Z Judiną skojarzyłem też zamieszczenie – zaraz potem – swego rodzaju konglomeratu pojedynczych utworów Bacha. Babajan urokliwie i ciekawie zagrał nam menuety i preludia, a wręcz uwiódł mnie dźwiękowo ujęciem *Sinfonii Es-dur BWV 791*! Inny był jego Chopin choć miał – trzeba to przyznać – bardzo piękne momenty. Uważam, że Babajan posiadał duży chopinowski talent, że umie „oddychać” Chopinem, że pięknie frazuje, naturalnie, śpiewnie, wrażliwie. Ciekawie zagrał *Poloneza cis-moll op. 26*, ze sporym wyrazowym napięciem; *walc cis-moll op. 64 nr 2* był z kolei tak delikatny i czuły, że aż dźwięki się czasem nie odzywały, do tego był to walc dość stojący, jednakowy i monotonny, bez cienia jakiegos żywienia, choćby artykulacyjnego – taki to był „biały Chopin”... Ciekawa zaś bardzo była *Barkarola op. 60* – też szalenie delikatna, pełna jakiejś tęsknoty – Babajan trafnie odczytał to „włoskie” arcydzieło Chopina jako podróż gondolą po Canale Grande pary młodych, zakochanych ludzi. Na koniec był Rachmaninow, chciałoby się wyznać: bardzo mu bliski, może i najbliższy – patetyczny, mocny pianistycznie, efektownie wieńczący bardzo dobry, bodaj najciekawszy festiwalowy recital!

We wtorek koncertował w Muzeum Miasta Łodzi, przy komplecie publiczności – nasz laureat **XVI Konkursu Chopinowskiego – Paweł Waka-recy**, w dniu 168. rocznicy śmierci Chopina), przygotowując godzinny, bardzo udany recital. Pełnokrwiste zagrał *Poloneza A-dur op. 40 nr 1*, ślicznie mazurki, np. g-moll z op. 24, tego kujawiakowego, z tym charakterystycznym, lirycznym powstrzymaniem; a żywego *Mazurka C-dur* z tego opusu połączył attacca z pierwszym *Preludium C-dur*. Połączył bo tak – dość nietypowo ale ciekawie – ułożył cały program: nastrojem i tonacjami. Ciekawa to była wiązanka chopinowskich przebojów, coś z myślą o szerokim ogóle słuchaczy i miłośników muzyki. Bardzo ciekawy pomysł! Po młodzieńczych Polonezach było ślicznie, subtelnie i szlachetnie zagrane *Lento con gran espressione*, połączone z *Walcem cis-moll z op. 64*, pięknie i szeroko, z zamyśleniem ale i z jasnością przedstawił nam *Nokturn Es-dur op. 55 nr 2*, a zakończył *Walcem* w tej tonacji op. 18 – żywym, radosnym i pełnym wdzięku.

We środę, w trzecim dniu Festiwalu, z recitalem wystąpił **Kiryl Gerstein**, dobrze już znany festiwalowej publiczności. Zaczął od Bacha, od coraz częściej granych duetów (nagrał je ostatnio np. Rafał Blechacz) i było to wspaniałe granie: przejrzyście i plastycznie oddawał ich grę głosów, zarazem dynamicznie. Podziwiałem go szczególnie bo takie „proste” utwory wymagają czasem jeszcze większej wykonawczej powagi i troskliwości i zadbał o to bez wątpliwości. Pianista to znakomity, który gra klinicznie wręcz czysto (to taki laboratoryjny ale praktyczny analityk pianistyczny) do tego dysponujący świetną techniką, która wszak zawiodła go w wielkiej *Sonacie fis-moll* Brahmsa, wstawionej do programu w ostatniej chwili (zamiast 3. *Sonaty* Schumanna). Za dużo było w niej błędów technicznych, tekstowych, do tego bardzo brakowało mi wyrazowej mocy, wręcz potęgi. Nie można tak nijako i bezwrażeniowo zagrać tej sonaty, po której inni genialni interpretatorzy np. Richter czy Zimmermann, nadawali się do ... sanatorium. Za to druga część recitalu była znakomita: artysta zagrał walce Chopina i kilka *Etiud transcendentalnych* Liszta! Czarowne były te walce, lekkie, elegancie, czyste, bez żadnych dodatków jak to czasami bywa. Czuje Chopina, czuje jego styl. Tu znów

była gra – jak w Bachu – bez wątpliwości, stać go było nawet na odrobinę szaleństwa w finale tej chopinowskiej części, kiedy zagrał *Barkarolę op. 60* – piękną opowieść o miłości. *Etiudy* Liszta to szczególnie powód do satysfakcji – grał je perfekcyjnie, drapieżnie (nr 7), pięknie, z patosem zinterpretował *Etiudę nr 11*, z jeszcze większym – kolejną, 12-stą, a zagrana na finał *Etiuda nr 8* – godna była największych sal koncertowych. Arcypięknie pożegnał się z publicznością, grając na bis *Medytację* Czajkowskiego udowadniając, że prześwietny z niego muzyk, a nie tylko... chłodny i kalkulujący analityk.

Aleksander Korsantia należy do najbardziej lubianych tu pianistów. Ma w sobie coś szczególnie ujmującego, jakieś szczególne ciepło, dobroć, szacunek dla innych. Taka postawa, jak zawsze, rodzi reakcje wzajemności. Każdorazowo po zakończeniu tu recitali, jeszcze przed ukłonem wobec publiczności, głęboko kłania się patrzącemu zawsze na nas z dobrocią i szlachetnością Mistrzowi Arturowi (z portretu jego córki Ewy), zawsze też składa tam swoje kwiaty. Wiele mu zawdzięcza, to Konkurs jego imienia otworzył mu drogę w daleki świat. Są jeszcze wdzięczni i skromni artyści...

Jego recital odbył się w głównej festiwalowej sali koncertowej w Filharmonii. Zagrał *Obrazki z wystawy* M. Musorgskiego oraz ostatnią *Sonatę B-dur D 960* F. Schuberta. Program – wyzwanie dla każdego pianisty. Jak zagrać *Obrazki*, które mają już całą historię wielkich interpretacji? Jak wyreżyserować piękne i głębokie w treści i w wyrazie schubertowskie arcydzieło. Korsantia znalazł sposób. Jest wspaniałym, myślącym szeroko i otwarcie muzykiem. *Obrazki*: znakomite – z pianistycznej strony, czarowne i ciekawe, inne od innych – z muzycznej, interpretacja szalenie dynamiczna. Słyszało się w niej jak pianista przedstawia muzyczne obrazy do samego końca skrupulatnie wyreżyserowane: lirycznie i nastrojowo opowiadał w *Starym zamku*, plastycznie oddał ciężko i koślawie kroczące *Bydło*; jak naturalnie, nieregularnie „gdakały” kurczęta – jak do tego wszystkiego cudownie się tym wszystkim bawił. Wzruszały i rozśmieszały mnie postaci Schmula i Goldenberga. Przez to, że tak bogato różnicował te wszystkie portrety – wszystko to było szalenie żywe, ciekawe i zajmujące, odbiegające od kanonów. No i na koniec, okazała, efektowna pianistyka, nie budząca najmniejszych wątpliwości. To były zajmujące opowieści, fantastyczne dźwiękowe „obrazki z wystawy” właśnie...

Po przerwie Schubert... Od początku czułem bliski związek pianisty z tą muzyką, związek całościowy: płynący od serca ale i głowy. Była bowiem wszechobecna wrażliwość na tę muzykę ale i wysoka, klasyczna precyzja gry. Nie słyszało się w jego ujęciu niczego przypadkowego: i w tym dziele czuło się doskonale panowanie nad całością formy, tu szczególnie trudnej i rozbudowanej (trwa przecież ponad trzy kwadranse). Frapująca była druga, bodaj kluczowa część – zajmująca była to opowieść. Miał tu taki zapas, tak świetnie opany materiał, że mógł swobodnie czynić to wszystko, co wydało mu się potrzebne. Nie było zmian trybu, harmonii, nastroju bez właściwych reakcji, bez potrzebnego odczekania aby każda taka zmiana miała swoją moc i jeszcze większą wartość wyrazową, abyśmy tym bardziej ją zauważyli i odczuli. Znakomity z niego muzyk! Scherzo, które nie nastąpiło od razu (cisza po wolnej części była bowiem zajmująca) z tym większą siłą pokazało nam swoje muzyczne bogactwo, także element zabawy, a że też jego świetne pianistyczne możliwości – to zrozumiałe. Finał jeszcze bardziej podkreślił nam wagę tej bardzo osobistej interpretacji, godnej – w moim odczuciu – największych sal koncertowych.

Jak już wspominałem, w piątek 20 X odbył się jeszcze – przy prawie do końca pełnej Sali Koncertowej Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina – uroczysty koncert symfoniczny dedykowany Maestrowi **Arturo Toscaninemu**, w 150. rocznicę jego urodzin i 60. śmierci. To był świetny pomysł dyrektora festiwalu powiązania dwóch wielkich Arturów i przypomnienie nam tego fantastycznego wspólnego ich epizodu, i dla nas ważnego, bo pozostawili po sobie nie

lada pomnik w postaci znakomitego nagrania *III Koncertu c-moll* Beethovena, który tedy musiał się znaleźć w programie tego rocznicowego wieczoru z udziałem Filharmonii Łódzkiej pod dyr. Marcina Nałęcz-Niesiołowskiego. Solistą wieczoru był **Federico Colli** – barwny, ciekawy, wiele koncertujący, niespełna 29-letni włoski pianista. W ostatnich kilku latach słuchałem jego recitali na Festiwalu Chopinowskim w Dusznikach. Bez wątplenia to jeden z najciekawszych pianistów młodszych (jeszcze) pokolenia. Ma niezwykłą wyobraźnię, raczy nas kapitalnymi ujęciami różnych utworów ale też zachwycą wrażliwością wobec wykonywanej muzyki. Potrafi podejść do muzyki Chopina odważnie, oryginalnie ale nie przekracza granicy, wyznaczonej choćby już tylko przez dobry smak. Na Festiwalu słyszałem go po raz pierwszy w występie z orkiestrą, i to jeszcze w dwóch bardzo klasycznych dziełach najnowocześniejszego klasyka wiedeńskiego. I tu takiego wrażenia nie było. Owszem, potrafił z czułością i delikatnością prowadzić narrację choćby wolnej części *Koncertu c-moll*, potrafił dynamicznie i precyzyjnie przedstawiać jego skrajne części; pokazał też swój bardzo dobrze przygotowany warsztat pianistyczny. Podobnie było w „Cesarskim”, po przerwie ale oczekiwanego wrażenia nie było. Tak, jakby się słyszało, że brakuje mu jeszcze kilkudziesięciu wiosen do poziomu odczytania przez grającego wtedy w Nowym Jorku Beethovena, 57-letniego patrona Festiwalu. Tak na marginesie, orkiestra gospodarzy nie spięsała się najlepiej – zagrała tak na koncercie Festiwalowym, przy pełnej widowni, Uwerturę do *Fidelii* – po prostu nie wypada. Potem już było tylko lepiej...

Bohaterami ostatniego dnia V Festiwalu byli oczywiście pianiści, aż pięciu: **Paweł Waka-recy, Jakub Kuszlik, Denis Źdanow i Federico Colli** oraz w samym finale **Aleksander Korsantia** (w Wieluniu koncertował jeszcze gwoli ścisłości ten szósty – **Tomasz Ritter**). Wojciech Grochowski od początku wprowadził sobotnie recitale młodych pianistów do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego przy ul. Piotrkowskiej, duży koncert z bezpłatnym wstępem. Nie byłym ich szczególnym zwolennikiem, z akustycznych wyłączenie powodów ale siła tradycji robi swoje i pomału przywykam... Bardzo dobre i w tym roku było tam granie zaproszonych gości, a zachwylił słuchających absolutnie najszybciej F. Colli – kiedy wizjonersko muzycznie ujmował wybrane sonaty D. Scarlattiego.

Finał odbywał się w Sali Lustrzanej Muzeum Miasta Łodzi, siedzibie okazałej od bogactwa eksponatów *Galerii Muzyki im. Artura Rubinsteina*. Może chciałoby się zamknąć jeszcze pełniej i bardziej okazałe pierwsze jubileuszowe Festiwal ale z drugiej strony kameralny program zawsze lepiej brzmi w zabytkowym, kameralnym wnętrzu niż w najnowocześniejszej choćby sali koncertowej wobec tysięcy słuchaczy. Zaproszenie dyrektora Festiwalu przyjęli ponownie muzycy kwartetu smyczkowego Stradivari Quartett ze Szwajcarii, którzy różnią się od innych zespołów nie tak znowu drobnym detałem, że wszyscy grają na w istocie pięknie brzmiących Stradivariusach (inna sprawa, że gdyby się o tym nie powiedziało, większość melomanów najpewniej w ogóle nie zwróciłaby na ten „szczegół” uwagi, tak myślę...). Bardzo muzykalni, świetnie zgrani, dojrzały, poważni, do końca profesjonalni, zaprezentowali poruszające schubertowskie arcydzieło *Śmierć i dziewczyna* oraz po przerwie *Kwintet fortepianowy A-dur op. 81* A. Dworzaka – z udziałem znanego nam już A. Korsantii. Granie i muzykowanie było najszczególniejsze, sprawiające wielką satysfakcję muzyczną ale i prawdziwą gratkę artystyczną. Artyści rozumieli się tak doskonale, jak to zazwyczaj w gronie wytrawnych muzyków bywa. Dla mnie wykonanie to miało jeszcze jeden ważny walor – otóż na żywo przekonałem się, że altówka może swoje tak piękne melodie wygrywać czysto i okazałe (dotychczasowe moje „żywe” kontakty z tym dziełem podczas jednego z konkursów pianistycznych, zawsze były skażone tym poważnym, intonacyjnym mankamentem). To było doskonałe, porywające wykonanie, które oczywiście stało się pretekstem do bisu!

Reasumując, V Rubinstein Piano Festival, stał na bardzo wysokim wykonawczym i artystycznym poziomie. Dobór solistów, laureatów konkursów im. patrona Festiwalu – wręcz idealny na taką okoliczność. Gwiazdą był w tym roku Siergiej Babajan, a zdecydowanie największą w krótkiej jeszcze ale całkiem bogatej już historii Festiwalu, mimo występu Daniela Barenboima, zapowiada się być występ **Jewgienija Kissina**, który przyjął już zaproszenie na łódzki Festiwal (ponoć brakuje tylko drobnych, kalendarzowych uzgodnień). Bardzo na to liczymy Panie Dyrektorze Grochowski!

Adam Rozlach

ORGANIZATOR FESTIWALU W 2017 R.

FUNDACJA KULTURY • BIZNESU

Fundacja Kultury i Biznesu
ul. Piotrkowska 112,
90-007 Łódź
tel. 42 632 79 39,
redakcja@kulturalibiznes.pl

V MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYCZNY
IM. ARTURA RUBINSTEINA

RUBINSTEIN PIANO FESTIVAL

DYREKTOR FESTIWALU
Wojciech Stanisław Grochowski

HONOROWY PATRONAT
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy oraz
Małżonki Prezydenta
Agaty Kornhauser-Dudy
PREZYDENT.PL

GOŚCIE HONOROWI
Ewa i Alina Rubinstein

PARTNERZY / WSPÓŁPRACA

Międzynarodowa Fundacja Muzyczna im. A. Rubinsteina

Filharmonia Łódzka im. Artura Rubinsteina

Filharmonia Częstochowska im. Bronisława Hubertiana

Wielki Miasto Łódź

BIBLIOTEKA Uniwersytetu Łódzkiego

Województwo Łódzkie

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYCZNY IM. ARTURA RUBINSTEINA

Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne

CENTRUM DIALOGU im. Marka Edmunda w Łodzi

mdk

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYCZNY IM. ARTURA RUBINSTEINA

FESTIWAL DOFINANSOWALI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne

Centrum Dialogu im. Marka Edmunda w Łodzi

mdk

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYCZNY IM. ARTURA RUBINSTEINA

MECENASI FESTIWALU / SPONSORZY

amcor

ATLAS

Bank Zachodni WBK
Grupa Santander

Santander Orchestra

PGE
PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna SA

Pan Jerzy Czubak

Pan Zygmunt Rolat

PATRONI MEDIALNI / OPIEKA MEDIALNA

dwójka
POLSKIE RADIO

TVP 2

TVP 3
ŁÓDŹ

TOYA TV
HD

radio Łódź

ZAK
ZAK Łódź

KULTURA • BIZNES

Natalie Moreno-Kamińska

Wartość Rubinstein Piano Festivalu

Jubileuszowy V Rubinstein Piano Festival (2017) przeszedł do historii jako impreza niezwykle udana. Podczas sześciu dni wypełnionych wydarzeniami obejmującymi różne dziedziny sztuki i nauki, swoje umiejętności zaprezentowali znakomici artyści i wykładowcy.

Festiwal ten jest bez wątpienia wydarzeniem wyjątkowym, gdyż jako jedyny na świecie został poświęcony osobie wielkiego pianisty, łodzianina, Artura Rubinsteina. Warto spojrzeć na ten event z kilku perspektyw, bowiem interdyscyplinarne podejście pozwala wskazać istotne elementy składające się na istotę tego wydarzenia. Festiwal organizowany jest od 2008 roku, jego dyrektorem i *spirytus movens* całości jest Wojciech Grochowski, pierwsze cztery edycje organizowała Międzynarodowa Fundacja Muzyczna im. Artura Rubinsteina, w 2017 roku głównym organizatorem była Fundacja Kultury i Biznesu – przy współpracy z Międzynarodową Fundacją Muzyczną im. Artura Rubinsteina.

Artur Rubinstein jest jednym z symboli wielonarodowej wielokulturowej Łodzi. Na mapie miasta zaznaczyć można wiele miejsc, związanych z Maestrem m.in. kamienicę przy ulicy Rewolucji 1905 roku nr 28, miejsce jego urodzenia czy kamienicę przy Piotrkowskiej 78, w której mieszkał z rodziną, miejsca jego koncertów etc. Artur Rubinstein spędził w Łodzi dziesięć pierwszych lat swojego życia. Jego pierwsze spotkania z muzyką miały miejsce właśnie w rodzinnym mieście. W swojej autobiografii zatytułowanej *Moje młode lata* pisał tak:

– „Najważniejszym jednak wydarzeniem owych czasów stał się dla mnie przyjazd do Łodzi niewielkiej orkiestry symfonicznej, którą dyrygował Holender Julius Kwast. Orkiestra wykonała wtedy *I Suite* z *Peer Gynta* Griega, która poruszyła mnie do tego stopnia, że po powrocie do domu – ku zdumieniu rodziny – zagrałem ją niemal w całości z pamięci. Pan Kwast, zaproszony do naszego domu, wysłuchał mojej gry i orzekł, że czas już, bym zaczął pobierać lekcje gry na fortepianie (...) Wtedy to mój ojciec kupił mi fortepian firmy Schrödera”¹.

Można więc powiedzieć, że tutaj, w Łodzi, wszystko się zaczęło.

Po raz ostatni Artur Rubinstein powrócił do miasta swojego urodzenia w 1975 roku. Przyjechał na zaproszenie Henryka Czyży, kierownika artystycznego Państwowej Filharmonii w Łodzi, by uczcić sześćdziesiątą rocznicę orkiestry filharmonicznej. Koncert, ze względu na większą widownię, odbył się w Teatrze Wielkim. Swoją gaź z koncertu przekazał na ufundowanie nagrody dla muzycznie najzdolniejszego młodego łodzianina, zaś honorarium za transmisję radiową na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Wręczono Mu też medale pamiątkowe z okazji pięćset pięćdziesiątej rocznicy nadania Łodzi praw miejskich i sto pięćdziesiątej rocznicy istnienia Łodzi przemysłowej².

Celem Rubinstein Piano Festivalu jest podtrzymywanie pamięci o wybitnym łódzkim pianiście. Jest to szczególne świętem sztuki, gdyż jego program obejmuje zarówno znakomite wydarzenia muzyczne, takie jak koncerty solowe, kameralne czy symfoniczne, jak i pokazy filmów dokumentalnych, wystawy planszowe, wystawy rzeźby, fotografii, archiwaliów czy publikacji poświęconych Maestrowi Rubinsteinowi. Dobrym przykładem może być wystawa „Artur Rubinstein bibliofilsko” zorganizowana w tym roku po raz pierwszy dzięki współpracy organizatora z Biblioteką Uniwersytetu Łódzkiego (BUŁ). Kuratorami wystawy byli Wojciech Grochowski – inicjator wystawy, dyrektor festiwalu i Marzena Kowalska z BUŁ. Jej wernisaż został połączony z wykładem *Rubinstein Piano Festival interdyscyplinarnie*, który



Prof. Andrzej Jasiński podczas kursu mistrzowskiego w Zespole Szkół Muzycznych im. S. Moniuszki przy ul. Rojnej 20. Fot. Natalie Moreno-Kamińska

miałam przyjemność wygłosić w obecności Ewy i Aliny Rubinstein, córek pianisty, reprezentując, jako doktorantka Wydziału Filologicznego, Uniwersytetu Łódzkiego.

Różnorodność wydarzeń sprawia, że festiwalem zainteresowane są różne grupy odbiorców. Są nimi nie tylko profesjonalni muzycy, pianiści, ale także przedstawiciele innych dziedzin sztuki, badacze, dziennikarze czy melomani. Celem organizatora jest dotarcie do jak najszerszej publiczności, aby upowszechnić muzykę klasyczną, zwiększać świadomość społeczną, poszerzać wiedzę o tym kim był i jak wielką spuściznę pozostawił po sobie Artur Rubinstein. Najistotniejszymi wydarzeniami Festiwalu jest oczywiście muzyka, recitale solowe, koncerty kameralne i symfoniczne. W trakcie wszystkich pięciu edycji odbyło się łącznie 68 koncertów, zaprezentowało się 38 pianistów. Słuchacze w trakcie poszczególnych edycji mogli już podziwiać m.in. Daniela Barenboima, Garricka Ohlssona, Emmanuela Axa, Sergei'a Babayana, Yulianę Avdeevą, Alexandra Korsantiego, Alexandra Gavrylyuka czy Eugena Indjica. Trzeba przyznać, że tej klasy artyści wykonujący muzykę klasyczną stosunkowo rzadko goszczą w Polsce, nie mówiąc już o przyjeździe do Łodzi. Artyści czynią to w hołdzie Mistrzowi, o czym mówił Daniel Barenboim w czasie II edycji Festiwalu:

„On [Artur Rubinstein] reprezentował tą wąską grupę ludzi wybitnych. Był wielki nie tylko publicznie, ale i prywatnie. Może to właśnie z tego powodu tak wielu współczesnych pianistów, ze mną włącznie, pragnie przyjechać tu, do Łodzi, jego rodzinnego miasta, by móc tu wystąpić”³.

Warto podkreślić, że wielu artystów powraca do Łodzi w kolejnych edycjach festiwalu m.in. Avdeeva, Babayan, Korsantia czy Gerstein. To wyróżnia Festiwal na mapie konkurencyjnych imprez muzycznych w kraju.

Rubinstein Piano Festival obfituje także w występy młodych, utalentowanych wykonawców. Pozwala im zdobywać nowe doświadczenia, ułatwia poszukiwanie kontaktów. Artyści wymieniają się spostrzeżeniami, obserwują i inspirują się wzajemnie. Możliwość uczestnictwa w prestiżowej imprezie poświęconej wielkiemu autorytetowi jakim dla pianistów – ale nie tylko – jest Artur Rubinstein, mobilizuje do jeszcze bardziej wyężonej pracy związanej z udoskonalaniem techniki pianistycznej oraz dopracowaniem innych aspektów muzycznych i wyrazowych. W festiwalu uczestniczą laureaci najważniejszych

konkursów pianistycznych, w tym: Międzynarodowego Konkursu Młodych Pianistów Arthur Rubinstein in memoriam w Bydgoszczy, Międzynarodowego Mistrzowskiego Konkursu Pianistycznego im. Artura Rubinsteina w Tel Awiwie, Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie, konkursów w Moskwie czy Brukseli. Wspieranie młodych artystów jest nieodłącznie związane także z osobą samego Artura Rubinsteina, a Fundacja poprzez swoje działania – zarówno festiwalowe, jak i prowadzone pomiędzy poszczególnymi edycjami – realizuje misję samego Mistrza.

Wielką wartością mają organizowane w trakcie kolejnych edycji festiwalu kursy mistrzowskie dla młodych adeptów sztuki pianistycznej. Jubileuszową edycję zaszczylił (kolejny raz) swoją obecnością prof. Andrzej Jasiński, jeden z najbardziej cenionych polskich pianistów i pedagogów, mistrz Krystiana Zimmermana, juror konkursów pianistycznych na całym świecie, w tym wieloletni przewodniczący jury Konkursu Chopinowskiego. Profesor, którego niezwykła osobowość przyciąga rzesze słuchaczy, poprowadził lekcje otwarte dla uczniów ZSM im. S. Moniuszki w Łodzi, w których uczestniczyła młodzież i pedagodzy ze szkół muzycznych z regionu łódzkiego. W tym samym czasie w Akademii Muzycznej odbywał się kurs mistrzowski prof. Alexandra Korsantii z New England Conservatory w Bostonie.

Rubinstein Piano Festival obejmuje jednak nie tylko wydarzenia *stricte* muzyczne. Podczas pięciu edycji zaprezentowanych zostało 26 wystaw poświęconych m.in. Arturowi Rubinsteinowi, Teodorowi Leszetyckiemu czy Fryderykowi Chopinowi, a także przypominające wcześniejsze edycje festiwalowe. Jak dotychczas odbyło się także kilkanaście pokazów filmów dokumentalnych, w tym m.in. *L'amour de la Vie* w reżyserii Francois Reichenbacha, który otrzymał Oskar 1970 za najlepszy film czy *Arthur Rubinstein Marie-Claire* Margossian produkcji francuskiej z 2010 roku.

Niekwestionowane znaczenie dla odbiorców festiwalu ma obecność córek Artysty, Ewy i Aliny Rubinstein, które wielokrotnie kierują swoje słowa do uczestników i melomanów, spotykają się z młodzieżą szkolną i akademicką, przybliżając postać swojego Ojca, podnosząc tym samym prestiż Festiwalu. Podczas pięciu edycji Rubinstein Piano Festival Ewa i Alina Rubinstein odwiedziły uczniów, nauczycieli, studentów i wykładowców łódzkich szkół i uczelni wyższych, takich jak: VIII Liceum Ogólnokształcące, Państwowa Szkoła Baletowa im. Feliksa Parnella, Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna (OSM) I i II stopnia im. Henryka Wie-

niańskiego, Zespół Szkół Muzycznych (ZSM) im. Stanisława Moniuszki, Akademia Muzyczna im. Grażyny i Kiejstuty Bacewiczów czy Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. Leona Schillera. Przy ich udziale w trakcie każdej edycji odbywa się zwiedzanie Galerii Muzyki w Muzeum Miasta Łodzi, w tym roku połączone z otwarciem galerii w nowej aranżacji.

Rubinstein Piano Festival odgrywa znaczącą rolę dla kultury muzycznej regionu łódzkiego, ale także w wymiarze ogólnopolskim i międzynarodowym. Organizator porusza czasem zapomniane związki Mistrza z Łodzią, ukazuje Jego miłość do rodzinnego miasta, wzmacnia ten przekaz nie tylko poprzez muzykę i wspomniany film, ale także poprzez poezję, literaturę, rzeźbę, balet, fotografię. Dzięki festiwalowi kolejne pokolenia łodzian i mieszkańców regionu łódzkiego mają możliwość poznać historię Artura Rubinsteina, człowieka, którego pokochał cały świat, a który swoje pierwsze kroki stawiał w stolicy województwa łódzkiego.

Pogłębianie wiedzy przyczynia się do ugruntowywania wartości społecznych, prowadząc do spajania wspólnoty małej ojczyzny, jaką jest region łódzki. Dzięki działaniom edukacyjnym skierowanym zarówno do artystów, jak i osób nie zajmujących się profesjonalnie muzyką, festiwal Rubinsteina przyczynia się do podtrzymywania tożsamości społeczności lokalnej, promuje region łódzki, jego kulturę oraz przypomina o historii i dziedzictwie miasta Łodzi. Łódź jest miastem Artura Rubinsteina. To święto sztuki chce być otwarte na łódzką publiczność, o której w 1966 r. Artur Rubinstein mówił:

– Łódź jest miastem, które zawsze kosztuje mnie, w sensie artystycznym, chyba najwięcej wysiłku. Tu się urodziłem, tu są moi ludzie. Dlatego też chyba w Łodzi mam największą treść, czuję na sobie odpowiedzialność i pragnę nie zawieść oczekiwań publiczności”⁴.

Przesłanie Maestra Artura Rubinsteina przyszłości organizatorowi i rodzinie artysty, którzy dokładają wszelkich starań by łódzka publiczność pamiętała o łodzianinie, który wielkimi zgłoskami wpisał się w historię naszego miasta. Oby działania mające na celu organizację kolejnych edycji Rubinstein Piano Festivalu uzyskały konieczne i na odpowiednim poziomie wsparcie finansowe – które jest wciąż za małe, abyśmy za dwa lata mogli być znów uczestnikami święta Artura Rubinsteina.

¹ A. Rubinstein, *Moje młode lata*, tłum. T. Szafar, Polskie Wydawnictwo Muzyczne 1976, s. 16.

² Tamże, s. 39.

³ D. Barenboim, zdjęcia filmowe z arch. TVP Łódź real. L. Bonar [w:] *Rubinstein Piano Festival Impresja filmowa o festiwalach im. Artura Rubinsteina w Łodzi: I – 2008, II – 2011, III – 2013, IV – 2015*, dz. cyt.

⁴ A. Rubinstein [w:] *Głos Robotniczy*, 1966, nr 220 [za:] W. Grochowski, *Rubinstein i jego festiwal, Rubinstein Piano Festival 2008 Program*, dz. cyt., s. 11.

Debiut płytowy Łukasza Krupińskiego

W 2015 r. Łukasz Krupiński dał się zapamiętać jako jeden z najlepszych reprezentujących Polskę uczestników XVII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. F. Chopina. W jego grze podziwialiśmy nie tylko biegłość techniczną, ale przede wszystkim błyskotliwość i świeżość interpretacji. Nakładem wytwórni DUX, pod numerem katalogowym 1375, ukazał się debiut fonograficzny artysty: krążek pt. „Espressione...”. Na blisko godzinny recital złożyły się: *Sonata* As-dur Hob. XVI:46 Josepha Haydna, *Barakarola* Fis-dur op. 60, *Walc* Es-dur op. 18, *Polonez-Fantazja* As-dur op. 61 i *Lento con gran espressione* cis-moll Fryderyka Chopina oraz *Sonata-Fantazja* gis-moll op. 19 Aleksandra Skriabina.

Kompozycja Haydna pod palcami Łukasza Krupińskiego ujmuję subtelnym prowadzeniem melodii, bogactwem barw i lekkością artykulacji. Muzyk rozwija narrację poprzez wielopoziomowe modelowanie ekspresji – tak jeśli chodzi o sposób wydobywania i kształtowania dźwięku, jak i o niuanse w zakresie dynamiki czy agogiki. Zabieg ten pozwala mu na pełniejsze uka-

zanie doskonałości formalnej interpretowanego utworu. O ile początkowe *Allegretto moderato* cechuje się swego rodzaju eterycznością, a środkowe *Adagio* – rzewnością, o tyle końcowe *Finale*. *Presto* przykuwa uwagę ze względu na obecność pierwiastka wirtuozowskiego; co ciekawe, rzecz dla niewtajemniczonych paradoksalna, ów wirtuozerski charakter spotęgowany jest za sprawą tempa wyważonego, to znaczy szybkiego, lecz niezagonionego.

Dzieła Chopina w ujęciu Krupińskiego wyróżnia ascetyczność w doborze środków wyrazu oraz śpiewność kantyleny. *Barakarola* jawi się niczym – przywołam słowa Fredericka Niec-ksa – „romans przepojony miłością” albo, cytując Karola Tausiga, scena naznaczona „słodką czułością, która rozgrywa się w odosobnionej gondoli”. Nieco zdystansowana, *Barakarola* ta odznacza się intymnością, ale także namiętnym żarem, skrętnie wydobywanym spod gęstwin dźwięków. Płomienny *Walc* Es-dur z kolei przywodzi na myśl rozkołysane w wirze tańca pary bawiące się gdzieś na balu. Jest zarazem melancholijny i radosny, podniosły i lekki, tęsknie rozmarzony

i pełen animuszu, a jego melodie przenika sentymentalne ciepło. *Polonez-Fantazja* przedstawiony jest poetycko, z nutą zadumy we „wstępie”, w umiarkowanych, by nie powiedzieć stoickich tempach w rozwinięciu, jakkolwiek z drapieżnym pazurem (choć nie z wybuchem wulkanu, jak u Światosława Richtera oraz Władimira Horowitza) w końcowej kulminacji. *Lento con gran espressione* urzeka prostotą i delikatnością, która w repryzie tematu przypomina „śpiew duszy, co staje się wyczuwalna”, by zapożyczyć metaforę ukutą przez Niec-ksa na podstawie fragmentu powieści *Urszula Mirouët* Balzaka, a przejętą przez Alfreda Cortota w celu zobrazowania stylu wykonawczego Chopina.

Sonata-Fantazję gis-moll Skriabina charakteryzuje w interpretacji Krupińskiego szeroka paleta odcieni, ze szczególnym naciskiem na różnicowanie dynamiki *piano*. Gra obfituje ponadto w intensywne emocjonalnie i niemniej



wykwintne kolorystycznie, romantyczne uniesienia, w których solista imponuje krągłym, głębokim *forte*, stawiając niejako pomost między muzycznym impresjonizmem a utożsamianym z twórczością rosyjskiego kompozytora nurtem ekspresjonistycznym.

Nagranie zrealizowano w Łusławicach w dniach 25-27 listopada 2016 r.

Maciej Chiżyński, juror ICMA z ramienia „ResMusica” (<http://www.resmusica.com/author/mchizynski/>) ■

Wagner i słynne festiwale w Bayreuth

Richard Wagner (1813-1883) to z pewnością jedna z najważniejszych postaci muzycznego świata w drugiej połowie XIX wieku.

Jako człowiek miał wiele wad. Skrajny egoista i samolub, chorobliwie wręcz przeświadczony o własnej wielkości i wobec tego bardzo wiele wymagający od najbliższego otoczenia, bez skrupułów też wykorzystujący fortunę oraz wpływ wysoko postawionych przyjaciół (z królem Bawarii Ludwikiem II na czele), o ile tylko mogli mu się do czegoś przydać. Nałogowo też nie dotrzymywał danych przyrzeczeń i zaciągał długi, których nie zamierzał spłacać. Taki to, niezbyt budujący wizerunek jego osoby przekazała nam historia.

Jako artysta natomiast, był Wagner bez wątpienia genialnym nowatorem – odkrywca, który przed zdumionymi i zachwyconymi odbiorcami odsłaniał nowe światy melodii i harmonii, a dla teatrów operowych stał się bezwzględny prawodawcą nowego nurtu, któremu na imię dramat muzyczny. Ideę syntetycznego dzieła sztuki (*Gesamtkunstwerk*) – w którym słowo i muzyka oraz akcja sceniczna, wyrastając niejako jedno z drugiego, stanowić miały swoistą jedność – realizował Wagner w kolejnych dziełach coraz bardziej konsekwentnie. Stworzył też muzyczną formę opartą na „niekończącej się melodii” oraz na motywach przewodnich wyrażających charakteryzujących występujące postacie, jak też określone sytuacje i psychiczne stany bohaterów, a nawet istotne dla rozwoju akcji przedmioty oraz siły przyrody. Harmoniczny język Wagnera, polegający na budowaniu nieustannych napięć, osiągnął szczyty w jego *Tristanie i Izoldzie* (szwajcarski badacz Ernst Kurth opublikował nawet swego czasu obszerną książkę „Romantyczna harmonika i jej kres w *Tristanie* Wagnera”).

Jednak idee Wagnera, jak też jego dzieła, znajdowały nie tylko wielbicieli, ale także zagorzałych przeciwników, którzy z wielbicielami toczyli zażarte boje słowem i piórem. Tamci oczywiście nie pozostawali dłużni i w rezultacie poświęcone tej sprawie publikacje mnożyły się tak skutecznie, że – jak zauważył któryś z historyków – już pod koniec XIX stulecia ich liczba ustępowała jedynie bibliografiom Napoleona i Szekspira.

Czując niedosyt wobec aktualnych technicznych możliwości europejskich teatrów i przeświadczony o wyjątkowości swoich dzieł zaczął

Wagner myśleć o stworzeniu dla ich wystawiania specjalnego przybytku sztuki. W którymś momencie podsunął tę ideę wielbiącemu go bezgranicznie romantycznemu królowi Ludwikowi II Bawarskiemu – i wygrał! Oto bowiem w niewielkiej bawarskiej (a właściwie frankońskiej) miejscowości Bayreuth, z woli tego monarchy, powstał w 70-tych latach XIX wieku wspaniały, nowoczesny teatr, zaprojektowany przez słynnego architekta Gottfrieda Tempa. Latem 1876 odbył się tam pierwszy festiwal dzieł Wagnera, obserwowany pilnie przez plejadę koronowanych głów i ludzi sztuki z całego świata.

Po nim nastąpiły dalsze – i tak, z przerwami jedynie podczas dwóch wojen światowych i przez parę lat po drugiej wojnie, trwa ta impreza po dziś dzień, jako najstarszy z europejskich muzyczno-teatralnych festiwali. Pozostaje niezmiennie pod artystycznym kierownictwem bezpośrednich potomków swego założyciela i twórcy, którego dziełom służy. Niezmiennie też cieszy się olbrzymim zainteresowaniem, wobec którego liczba chętnych odbiorców każdego lata wielokrotnie przekracza ilość miejsc na widowni owego monumentalnego festiwalowego teatru. I nic dziwnego. Sceniczne dzieła Wagnera od początku stanowiły tu i stanowią nadal potężny magnes, a w festiwalowych przedstawieniach zawsze brali udział najwybitniejsi artyści, specjalizujący się w odtwarzaniu tego repertuaru.

Inszenizacje? Cóż, zrazu ich autorzy trzymali się wiernie zaleceń kompozytora (zarazem też autora wszystkich librett) i w realistycznych dekoracjach starali się przedstawiać perypetie legendarnych bohaterów. Późniejsze pokolenia zaczęły poszukiwać bardziej nowoczesnych rozwiązań, ale i wtedy wybitni reżyserzy kierowali się pietyzmem wobec idei wystawianego dzieła oraz, naturalnie, wobec charakteru jego muzyki, myśląc głównie o mocniejszym zarysowaniu owej idei, bądź też eksponując wyrażenie niedostrzegane wcześniej szczegóły. Przykładem mogą być wizjonerskie spektakle rodzzonego wnuka wielkiego twórcy, Wielanda Wagnera, w tymże Bayreuth, bądź też odkrywcze w swoim czasie przedstawienia Waltera Felsensteina w berlińskiej Komische Oper w Berlinie, czy inscenizacje Lucchina Viscontiego w mediolańskiej La Scali.

Jednak w bliższych nam czasach pojawili się i zyskali rozgłos w tej branży ludzie, dla których arcydzieła Wagnera stały się jedynie pretekstem do snucia własnych wizji scenicznych, niewiele mających wspólnego z ich treścią, albo co gorsza pokazujących tę treść w krzywym zwierciadle. Praktyki takie, o zgrozo, nie ominęły także najsłynniejszej wagnerowskiej świątyni to jest Festspielhaus w Bayreuth.

Oto bowiem podczas tegorocznego Bayreuckiego Festiwalu, w otwierającym gigantyczną tetralogię *Pierścień Nibelunga* wstępie *Złoto Renu*, płynącą swobodnie wśród dziewiczych borów rzekę zastąpił hotelik o podejrzanej reputacji, z dużym basenem kąpielowym, a mające symbolizować czystą naturę córki Renu stały się panienkami lekkich obyczajów. Z kolei druga część *Pierścienia*, czyli *Walkiria*, rozgrywała się na różnych piętrach potężnej wieży wiertniczej gdzieś w Azerbejdżanie, jako że reżyser chciał tu pono przywołać autentyczną historię tamtejszego magnata naftowego uchodzącego przed oddziałami chcących go zamordować bolszewików. Bohaterski Zygryd zaś nie walczy z żadnym smokiem, ale z groźnym gangsterem czy też handlarzem narkotyków z berlińskiego Alexanderplatz i bez użycia czarodziejskiego miecza uśmierca go serią z pistoletu maszynowego. Z kolei tajemnicza Góra Ognia, gdzie spoczywała uśpiona Brunhilda, zmieniła się w amerykańską Mount Rushmore, tyle że wyrzeźbione tam słynne głowy czterech prezydentów otrzymały oblicza... Marksa, Lenina, Stalina i Mao Tse Tung. Wszystko to zabiło kompletnie pierwotny, przejmujący klimat dzieła Wagnera.

Dla odmiany w przedstawionej na uroczystą inaugurację całej imprezy nowej inscenizacji *Śpiewaków norymberskich* powierzonej zażywającemu szerokiej sławy Barrie Kosky'emu, drugi akt zamiast na miejskiej ulicy pomiędzy domami bogatego złotnika Pognera i szewca-poety Hansa Sachsa (warto pamiętać, że jest to postać historyczna), rozegrał Kosky na rozległym pustym placu zarosniętym trawą i zielskiem. Tutaj rozłożył się Sachs ze swoim szewskim warsztatem, tutaj miało miejsce dyskretne spotkanie zakochanej pary i tutaj wybrał się antypatyczny pisarz miejski Beckmesser ze swą niefortunną serenadą, usiłując odśpiewać ją, jak sądził, pod

oknem pięknej Ewki Pogner, której rękę także i on chciałby zdobyć. Tutaj wreszcie, w trakcie końcowej ogólnej bijatyki (ku zdumieniu i zaskoczeniu – jak wolno sądzić – wielu widzów) ukazała się w tle odpychająca żydowska gęba oraz potężnych rozmiarów gwiazda Dawida. Co to miało znaczyć? Tak zwana kwestia żydowska pod żadną postacią w autorskim librecie opery przecież się nie pojawia... Dla odmiany wreszcie ostatnia scena opery, ta z uroczystym pochodem mistrzów i przynoszącym ostateczny triumf Walterowi wielkim turniejem śpiewaczym, nie rozgrywała się na rozległych błoniach za miastem, ale przeniosła nas na... salę sądową, gdzie odbywać się miał głośny proces hitlerowskich zbrodniarzy. Wszystko to bez związku z autentyczną treścią opery. Znacznie bliższe oryginalnych autorskich idei oraz po prostu artystycznej prawdzie były z pewnością przedstawienia *Tristana i Izoldy* wyreżyserowane przez prawnuczkę kompozytora, Katharine Wagner oraz *Parsifala* w inscenizacji Uwe Erica Laufenberga.

W każdym natomiast przypadku sprawę ratowała muzyka Wagnera, cudownie brzmiąca w wykonaniu niezmównianej Festiwalowej Orkiestry i najdoskonalszego bodaj w Europie Festiwalowego Chóru, pod batutami takich mistrzów jak przyznający się do polskich korzeni niemiecki dyrygent Marek Janowski (*Pierścień Nibelunga*), jak najświetniejszy bodaj z kapelmistrzów młodszej generacji Christian Thielemann (*Tristan i Izolda*) czy Hartmut Haenchen (*Parsifal*). Wiele też radości i szczerego zachwytu przyniosły z pewnością liczny pośród festiwalowej publiczności prawdziwym miłośnikom sztuki, świetne kreacje całej plejady śpiewających gwiazd pierwszej wielkości. I tak byli to m.in. imponująca sopranem o niezwyklej mocy i blasku Catherine Foster (Brunhilda w *Pierścieniu*), Elena Pankratova (tajemnicza Kundry w *Parsifalu*), obdarzony rewelacyjnymi wręcz możliwościami bohaterskiego tenorowego głosu Stefan Linke (Zygryd) czy Stephen Gould (Tristan), Klaus Florian Vogt (Walter von Stolzing), Michael Volle (Hans Sachs, John Lundgren (Wotan w *Walkirii*) oraz Georg Zeppenfeld (złowrogi Hunding w *Walkirii* i szlachetny Gurnemanz w *Parsifalu*). Wyliczać można by zresztą długo, bo i tych pamiętnych kreacji mogliśmy podziwiać w trakcie tegorocznego Festiwalu bardzo wiele.

Teresa Grabowska-Kańska

Jerzy Biernacki

Wyobraźnia uwolniona, sny, oswajanie śmierci

Wzorem lat poprzednich, gdy na łamach „Kultury i Biznesu” publikowałem najpierw duże teksty o Norwidzie i Gombrowiczu, a w następnym numerze gazety suplementy do nich, proponuję uzupełnienie do tekstu pt. *Jarosław Marek Rymkiewicz, kodyfikator polskości*. Jak zapowiedziałem, tym razem zajmę się twórczością poetycką pisarza, zdałem sobie bowiem sprawę, że właściwie, jak Państwo mogli się przekonać, napisałem o pisarzu nader ogólnie jedynie, pod pewnym kątem, uwzględniając przede wszystkim jego eseistykę historyczną z ostatnich lat, jak również wypowiedzi, poetyckie i dyskursywne, o sprawach polskich. Natomiast nie poświęciłem uwagi rozmaitym nurtom jego twórczości, wśród których podstawowy i najważniejszy jest nurt poezji, zawartej w dziesięciu czy nawet jedenastu tomikach i tomach wierszy.

Rymkiewicz to wprost ocean literatury różnych gatunków i form, można by nimi obdarować kilku literatów, a także krytyków i historyków literatury (przez 40 lat pracował jako profesor literatury w Instytucie Badań Literackich) i dla każdego by wystarczyło. Obok poezji bowiem są dramaty, które na razie wyłączam z obszaru moich zainteresowań, są powieści, które trzeba by omawiać odrębnie i w ujęciu historiozoficznym, uwzględniając – mówiąc nieco prześmiewczo – mądrość poszczególnych etapów politycznych, są eseje historyczno-literackie poświęcone Fredrze, Słowackiemu, a przede wszystkim Mickiewiczowi (*Aleksander Fredro jest w złym humorze, Juliusz Słowacki pyta o godzinę, wieloksiąg Jak bajeczne żurawie*, „powieściowe encyklopedie”: *Leśmian. Encyklopedia i Słowacki. Encyklopedia*, nie licząc eseistyki będącej czymś w rodzaju manifestu poetyckiego (*Czym jest klasycyzm?*) czy rozważań metafizycznych i religijnych (*Przez zwierciadło*).

Jednakże poezja stanowi w tym oceanie akwen największy i o fundamentalnym znaczeniu, gdyż Rymkiewicz swoją pozycję literacką osiągnął i ugruntował przede wszystkim jako poeta. A ponadto, dzięki osobliwości swego dzieła poetyckiego, stał się swoistym wyzwaniem dla krytyków literackich i poetów nie unikających wypowiedzania się o twórczości kolegów, ponieważ – mówiąc nieco przesadnie – miotają się od ściany do ściany, by jakoś koherentnie, w sposób konsekwentny i uporządkowany zinterpretować te wiersze, a niezupełnie im się to udaje. Wszyscy są zgodni w jednym, że mamy do czynienia z poetą wybitnym i że jego utwory poetyckie mają wysoką – by rzec tak banalnie – wartość literacką, ale gdy przychodzi do głębszych analiz, wówczas jedni mówią o stylizacjach, inni o obsesjach poety, a szczególnie o obsesji śmierci, gnicia i martwoty, przy czym różnie oceniają stopień konwencjonalności tych zjawisk i związanych z nimi emocji, jeszcze inni zwracają uwagę na fakt, iż poeta nie uznaje kategorii szczerości i autentyczności w poezji i że jego utworów w tych kategoriach nie da się rozumieć i oceniać. Bolesław Ożóg na przykład w tym oceanie wierszy zdołał wyliczyć jedynie cztery z nich jako rzetelne liryki, przy czym wedle mojej opinii te jego typy nie są w pełni trafione. Ale konstatacja, że liryczność wiersza nie jest kategorią przystającą do jego utworów, wydaje się słuszna.

Zresztą problem liryzmu czy liryczności nie poddaje się łatwo zdefiniowaniu. Co nie znaczy, że jest to zjawisko, którego w ogóle nie da się opisać. Ale trochę podobna jest do pojęcia wdzięku, u człowieka czy zwierzęcia. Bo zwierzęta podobnie jak ludzie też mają albo nie mają wdzięku. Znam pewne trzy osiołki, które są pełne wdzięku i jednego osła (to miano, brzmiące w stosunku do

osiołków jak augmentativum, jest tu szczególnie uzasadnione), który w ogóle do ludzi nie podchodzi, nie patrzy na nich, jest doskonale obojętny – i bez wdzięku. Mimo że nosi wdzięczne imię Franciszek. Liryzm czy liryczność jest takim wdziękiem poezji, najbardziej widocznym np. w lirykach łożańskich Mickiewicza czy w niektórych „mazowieckich” wierszach Broniewskiego (który jako liryk nie jest w pełni doceniony).

Uważam, że wiersz Rymkiewicza, którego tytułu nie pamiętam, lecz który poniżej zacytuję, jest wierszem lirycznym, choć jest zakazony obsesją śmierci i jeszcze bardziej niż lirykiem, jest wierszem onirycznym i „ciemnym” w tonacji.



Jarosław Marek Rymkiewicz, fot. Sławomir Kamiński – Agencja

Oto on:

*Śniła mi się moja babka Irena,
Prześlizczna, jak żywa,
Jareczku – powiedziała
– Twoja śmierć cię wzywa.
– Ale ja w nic nie wierzę,
– Ja też nie wierzyłam,
Lecz ze Źródła Mądrości
Wody się napiłam.
– Nie odchodź – zawołałam
– Zostań jeszcze ze mną!
– Ach, to nie da się zrobić,
Wszędzie tu tak ciemno.
Ciągłe trzeba umierać,
Na tym to polega.
I odeszła
W jaśminach, w liliach, w przebiśniegach.*

Cytuję z pamięci, wielce możliwe jest, że nie do końca wiernie, zwłaszcza gdy chodzi o formę zapisu. Przeczytałem go kiedyś w gazecie i formy zapisu nie zapamiętałem. Ale ten zapis mi się podoba, ponieważ jest dwukrotnym okostostychem (albo inaczej: cały obraz zawiera się w dwóch okostostychach). A Rymkiewicz formę okostostychu upodobał sobie szczególnie, najświeższy jego tomik wierszy nosi tytuł: *Metempsychoza. Druga księga okostostychów*. Okostostych to szczególnie wyzwanie dla poety, trudniejsze chyba niż sonet, wymaga bowiem jeszcze większej kondensacji treści.

Ala wracając do liryzmu, ten wiersz o śnionej babce jest nim przeniknięty, przy czym nie chodzi o sentyment czy sentymentalizm, o jakim możemy myśleć, gdy uświadamiamy sobie, że nastąpiło cofnięcie się do dzieciństwa (bo babcie na ogół pamiętamy z dzieciństwa) i myślimy o relacji między babką a wnuczkami, który przecież dzieckiem już

nie jest, ba, jest starszym człowiekiem, stojącym (czy uważającym, że stoi) w obliczu śmierci. Jest ów liryzm zawarty w niezwykłości mrocznego, ewokowanego przez poetę świata, w zderzeniu, że tak powiem, ze zwykłością dialogu, czyli jest niejako pomiędzy nimi, a potem w owym rozjaśnieniu, rozświetleniu obrazu tym kwiecistym przybraniem, w jakim babka odchodzi. I w tym, że – nagle – odeszła, taka kwieciście ubarwiona. A jej powidok pozostaje na długo pod powiekami.

Ala liryzm czy liryczność nie jest warunkiem sine qua non est poesis, czyli bez którego wiersz nie jest poezją. Wisława Szymborska wśród napisanych przez nią około 200 utworów poetyckich,

wierszy prawdziwie lirycznych ma zaledwie kilka, a przecież nikt nie odmawia jej wierszom miana niewątpliwej poezji.

A więc liryzm, wbrew temu, o czym pisałem wyżej, na podstawie jednego, może wyjątkowego wiersza, nie jest właściwością poezji Rymkiewicza. Jest nią natomiast, jak mi się zdaje, wolna czy uwolniona wyobraźnia, jak gdyby swobodny, chociaż nie za wysoki, wolny lot nad światem, choćby to był tylko ogród w Milanówku, i w tym świecie, prawem logiki poetyckiej, obok żywych, półmartwych lub martwych jeży, wróble, kawek, turkawek, wiewiórek (czasem bywa też rudzik) pojawiają się nagle, bardzo często zaskakująco, na zasadzie wolnych skojarzeń, postaci z greckiej mitologii, albo na przykład kompozytorzy, Schubert czy Brahms, lub filozofowie, Husserl lub Pascal, i inni, a to, co w wierszu jest akcją, dzianiem się, nie wiadomo, skąd się bierze, jak na przykład w wierszu *Ogród w Milanówku w okamgnieniu*:

*Wszystko znika w okamgnieniu w osłupieniu
Listki bluszczu tam pod płotem na kamieniu*

*Jeże krety oraz wróble wszystko znika
Co za walczyki! Planetarna to muzyka*

*Wszystko znika bluszcz i wróble jeże krety
Nawet Bartok jego skrzypce i klarnety (...)*

*Stoją sosna i daglezja — wszystko znika
Szostakowicz! Niech on zagra nam walczyka!*

*I demony — nieobecni nasi goście
Nawet gnicie — które gnije tam w kompoście (...)*

*I gadanie — aforyzmy nietzscheańskie
O sikorki o wróbelki o bezpańskie
Nieobecność — nawet ona się ulatnia
Jakaś wartość ale wartość już ostatnia
Szostakowicz — jego polki i galopy!
I demony — kosmos rzucą nam pod stopy!*

*Obecności jaka tutaj twoja władza?
Nieobecność nieobecnie się przechadza*

*Nieobecność mówi do nas po imieniu
Wszystko znika w okamgnieniu w nieistnieniu (...)*

I cały ten zorganizowany chaos mieści się w klasycznym, regularnym metrum, przy czym autor nie sili się na wymyślne rymy (czasem jednak mu się to zdarza, bywa, że stosuje nawet enjambement, ale raczej w drodze wyjątku), dba głównie o rytm; w ten sposób bardzo silny kontrast między formą a treścią wiersza daje szczególnie efekt jak gdyby intensyfikacji znaczeń.

Topika wielu wierszy zawiera takie fenomeny jak śmierć i jej powszechność, martwota, półmartwota (półmartwe jeże), gnicie, rozczłonkowanie ciał ludzi i zwierząt poprzez rozkład, jako zjawiska naturalne, przynależne życiu, przy czym poeta czy jego tzw. podmiot liryczny przybliża nam te zjawiska, jak gdyby chciał epatować nimi... (na pozór), a w gruncie rzeczy niejako je oswajać. Nie w tym sensie, jak to dzieje się od dekad w naszej cywilizacji, która stara się śmierci i jej atrybutów nie dostrzegać, usunąć ją sprzed naszych oczu, pozostawić fachowcom (lekarzom, pracownikom kostnic, grabarzom), lecz wprost przeciwnie, poprzez tak częste ich ukazywanie, poprzez persewację, powtarzalność, jak gdyby chciał nas przyzwyczaić do ich normalności.

Naturalnie, tematyka wierszy, gdy rozpatrujemy rzeczy szczegółowo, jest różnorodna, choć topograficznie często bliska miejscu zamieszkania poety, nie mówiąc już o ogrodzie w Milanówku, który jest jakimś osobistym małym kosmosem poety. I w tym kosmosie, a także poza nim dzieje się życie i śmierć, jest wiosna lub zima, oczywiście bardzo się różnią od siebie, zimą jest więcej martwych jeży (jeże są jakąś obsesją poety), półmartwych ptaków czy kotów, nie wiem już, kiedy jest więcej gnicia i rozkładu, mniej początku, więcej końca, jeśli nie w przedstawianej rzeczywistości, to w jakiejś zapowiedzi, żebyśmy nie zapomnieli, że „czas ucieka, wieczność czeka”, a pomiędzy jednym, a drugim jest „kosiara”. Tu przedstawiana dosadnie, materialnie, dotykalnie, jako trup, rozkład i gnicie.

Apropos wieczności, niejasne jest w tej mierze, czy może zmienne, stanowisko poety (jakże to prawdziwe, tylko święci wierzą niezłomnie) w sprawie „życia po życiu”. Rymkiewicz zdaje się być pozbawiony łaski wiary w Boga, choć Bóg pojawia się w różnych dziwnych rolach w jego wierszach, na przykład „przechadza się z córkami po ogrodzie”, albo brakuje go tam, gdzie dzieje się nieszczęście, lub nagle, w rozmaitych okolicznościach staje się jakąś niejasną nadzieją... Na kontynuację? Na Niebo? Czy może raczej na metempsychozę, ku której momentami zdaje się skłaniać poeta, jak w ostatnim tomiku wierszy tak właśnie zatytułowanym.

Rzecz jasna, w naszym kręgu kulturowym, a już zwłaszcza w Polsce nie może być poezji, która nie odnosiłaby się do Boga i do kwestii transcendencji. Choćby negatywnie, jak w wierszach Jacka Trznadla, który w wielu utworach zawartych w sześciu tomach poetyckich (tę część swojej twórczości uważa za najcenniejszą czy najważniejszą) bądź to zgłasza do Boga chrześcijan przeróżne pretensje, przerażony złem tego świata, bądź też oskarża Go o... nieistnienie, skoro do tego zła dopuszcza. O czym pisałem obszernie przed paru laty na tych łamach w artykule pt. *Manetekelfares, czyli o poezji Jacka Trznadla* (przedruk tego tekstu znalazł się w mojej książce pt. *Wolimy bohaterów*).

Naturalnie, nasz autor tomików poezji pt. *Moje dzieło pośmiertne i Znak niejasny, baśń półżywa* żyje blisko z przyrodą, zna dobrze ów kołowrót natury, która życie przemienia w śmierć, a ze skutków śmierci, z gnicia i rozkładu rodzi nowe życie. Przy czym wszystko to przykryte jest płaszczem piękną zewnętrznego świata, z jego roślinnością, równinami i majestatycznymi górami, pustyniami, morzami i oceanami. A pod tym

plaszczem wre praca śmierci. I tam właśnie sięga i buszuje nasz poeta. Który uważa, że o świecie trzeba mówić prawdę, a nie tylko pokazywać ów jego płaszcz niesłychanie ozdobny, który przecież nadzwyczajnie go również urzeka. Świadczy o tym, dla przykładu, początek wiersza:

Ogród w Milanówku, szósta rano

*Jeszcze śpi dereń jeszcze słodko śpią
Kot i migdałek tam w moim ogrodzie
Tylko domyślnie jabłka w mroku są
Jutro zaśniemy wszyscy jeszcze słodziej*

*Lekcje przyrody daje nam kalina
Mszyce wędrują w nicość pomalutku
A jarzębina jak piękna dziewczyna
Zdejmuje majtki czyli żegnał smutku*

I ostatnia zwrotka, jakby na dowód mojej tezy o oswajaniu.

*Jeszcze śpi dereń — ja go widzę stąd
I liście bluszczu nieznane nikomu
Śmierć to jest tylko istnieniowy błąd
Jakby ktoś mieszkał — ale w pustym domu*

Naturalnie, tematyka tych wierszy jest uniwersalna i Rymkiewicz, przynajmniej do lat dziewięćdziesiątych, a więc przez trzydzieści lat swojej twórczości, w jej ramach się utrzymuje. Później się to zmienia i poeta niekiedy swoje obrazy poetyckie zabarwia nawiązaniem do historii i polityki. Jak w wierszu *Koniec zimy*:

*(...) A zima jest stuletnia kremlowska starucha
Na polskie i czeczeńskie prośby zawsze głucha*

A w wierszu *Ogród w Milanówku*, zdziaczał jaśminy mówi najwyraźniej o sobie:
Ty z miłości do Polski chyba jesteś chory

Są to jednak pojedyncze frazy. Dominuje w wierszach tematyka i jej ujęcie o charakterze uniwersalnym, przy czym, tak jak u Herberta, ale całkowicie inaczej (ci poeci w wykonaniu swej roboty poetyckiej różnią się diametralnie), widzimy tutaj ogromny respekt wobec rzeczywistości, wobec natury, wobec jej praw. A także wobec roślin i zwierząt, lub raczej zwierzątek, bo poeta darzy miłością przede wszystkim jeże, wróble, kawki, turkawki, koty, krety a nawet myszy. Mniej chyba kocha (albo wcale) czarne, czarne gawrony, ale pisze o nich także z respektem.

Zatem podsumowując: poeta w swoich wierszach oswaja śmierć (moim zdaniem), dysponując „uwolnioną wyobraźnią” zaskakuje czytelnika niespodziewanymi skojarzeniami, w rytmicznych wierszach rymowanych (w tomiku *Metempsychoza. Druga księga oktychów* rezygnuje z rymów), często w sekwencji a a b, opowiada historie bardzo silnie osadzone w rzeczywistości (nie jest ona tłem, lecz uczestniczy w tym, co się dzieje), ale zarazem jakby wzięte ze snu, z sennego koszmaru. Jednakże tak jako te wiersze opowiadają ów dziwny świat, ów kosmos milanóweckiego ogrodu, z owym gniciem i rozkładem, z ciągłą obecnością śmierci, końca, kresu życia, że nie jest to wszystko wstrząsające, nie przstrasza, nie szokuje, wprost przeciwnie, wydaje się zwyczajne, naturalne, zwłaszcza gdy się przeczyta dużo tych wierszy. Myślmy sobie wtedy, że po prostu ten poeta tak ma, inaczej nie może, bo to się stale w kolejnych opowieściach i konfiguracjach powtarza. Niektórzy krytycy twierdzą, że Rymkiewicz przez całe życie pisze jeden wiersz, tylko w wielu odmianach. Ja nie podzielał w pełni tej opinii, ale przyznaję, że w jakiś sposób jest ona pomocna w interpretacji tej twórczości. Przy czym muszę powtórzyć wyraziście, to, o czym już wspominałem, że poeta

kocha urodę swojego świata (swojego widzenia świata?) i daje temu wyraz. Gdyby tak nie było, lektura tych wierszy nie miałaby sensu, ba, nawet chyba nie byłaby możliwa! Mimo to, Czytelnik może zapytać: – Po co to wszystko, po co ta (taka?) poezja. Rymkiewicz na to odpowiedział, kończąc wiersz pt. *Osip Mandelsztam idzie z konwaliami* wersem-eksklamacją:

Poezjo! Ja pamiętam że ty jesteś po nic.

Dobra fraza na puentę, ale sądzę, że warto jeszcze zacytować wypowiedź poety na temat ... ciemności poezji, której w wierszach Rymkiewicza jest немало. – *Ciemność poezji* – mówi Rymkiewicz – *nie jest pomysłem poetów, to jest coś, co jest jej rdzeniem. Gdyby poezję przenicować, wyrzucić na jej drugą stronę, na nice, to ukazałaby się ciemność. (...) I wchodząc w tę ciemność – wchodzimy też w najgłębsze warstwy naszego tutejszego istnienia.* A oto egzemplifikacja poetycka tych słów – oktychów z tomu *Metempsychoza*:

Ślepy poeta

*Ciemność jest ślepa – jak ja jak poezja
Jak brzoźki tam w ogrodzie, jak klon i daglezja*

*Idziemy więc oboje – trzymaj mnie za rękę
I nuczmy te samą wesołą piosenkę:*

*Ślepe są wszystkie brzoźki i każda daglezja
Zgodna ze swą naturą jest ślepa poezja*

*Idziemy więc oboje – ona trochę z przodu
Ślepa ciemność z poetą ślepego ogrodu*

Jarosław Marek Rymkiewicz, jak przystało na polskiego poetę (choć nie ma w swych żyłach ani kropli polskiej krwi, lecz, jak powiedział ostatnio, polskość to straszna siła i ta siła

go wybrała, a nie on ją wybrał) jest także spadkobiercą ogromnej tradycji poetyckiej w Polsce, a mianowicie tradycji poezji politycznej. W roku 2010 wydał tomik pt. *Wiersze polityczne*, gdzie znajduje się ów wiersz-apostrofa *Do Jarosława Kaczyńskiego*, cytowany przeze mnie w obszernych fragmentach na zakończenie tekstu o Rymkiewiczu jako kodyfikatorze polskości w poprzednim numerze „Kultury i Biznesu.” Mógł w nim zamieścić wiele wierszy z dawnych tomików, gdyż były tam liczne elementy polityki lub historii politycznej, a przede wszystkim martyrologii milionów ludzi, spowodowanej przez dwa totalitaryzmy XX wieku. Niektóre z nich już wyżej cytowałem. Są to często utwory raczej elegijne, jak ten, zaczynający się od słów:

Łagry łagry o baraki w śniegu (...). A dalej:

*Tors bez serca pusty wykrwawiony
Tajga tajga jadą eszelony*

*Tors spod śniegu – Apollo błądy
Tajga tajga zasypały ślady*

*Nasze życie jak kolczaste druty
I dym biały ciągnie znad Workuty.*

Jak widać utwory te zachowują wszystkie cechy poezji Rymkiewicza, o których mówiłem poprzednio, co może dotyczy w mniejszym stopniu wiersza *Do Jarosława Kaczyńskiego*, który ma oczywisty charakter z jednej strony publicystyczny, a jest to publicystyka o najważniejszych sprawach polskich dzisiaj i nie tracąca przy tym wartości poetyckiej, a z drugiej strony – to przecież rodzaj listu-apelu do osoby, apelu o działanie polityczne. Dodajmy, apelu, który – dziś można tak powiedzieć – był skuteczny.

Jerzy Biernacki

Kultura muzyczna Łodzi do roku 1918 – bestseller

Kultura muzyczna Łodzi do roku 1918 Alfonsa Pellowskiego jest pierwszą dużą książką mojego wydawnictwa, wtedy pod firmą Papier-service Wojciech Grochowski – dziś wydaje je w Fundacji Kultury i Biznesu; dotychczas łącznie wydałem ok. 200 książek. Tematyka pierwszych książek dotyczyła Łodzi, następnie poszerzyłem ofertę i zająłem się tak ważnymi tematami, autorami i osobami jak: gen. dr Bolesław Wieniawa-Długoszowski, Julian Tuwim, Artur Rubinstein i jego córka Ewa Rubinstein i in. Książka Pellowskiego jest tą w kulturze i historii Łodzi, na którą łodzianie czekali od owego tytułowego ważnego i historycznie roku 1918.

Moim nauczycielem w sprawach książek (ale i kolegą) był Jerzy Andrzejewski, wtedy pracownik Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego. Jakby realizował nakaz swojego szefa w BUŁ dyr. Michała Kuny – ikony bibliofilskiej Łodzi i Polski – w kwestii pomagania mi i kształtowania, formowania, uczenia mnie jak wydawać

książki i ładne druki. Do Michała skierowany zostałem przez panią doc. dr Jadwigę Siniarską-Czaplicką, mojego mentora jeszcze w czasach studenckich na politechnice w zakresie papieru czerpanego. On, poznawszy mnie powiedział później: – „Ty jesteś romantyczny inżynier, produkujesz i sprzedajesz elegancki papier czerpany, musisz robić więc i książki!” No i zabrał mnie na wycieczkę do Jerzego hr. Dunina-Borkowskiego do Krośniewic, gdzie polecił panu hrabiemu aby mówił mi po imieniu i to samo nakazał mnie – co z panem hrabią spełniłmy toastem. Jeździłem z Michałem na kongresy bibliofilów, aukcje, na inne atrakcyjne i poznawcze wycieczki, oglądałem coraz ciekawsze, ważniejsze i starsze książki, pokazywał mi błędy wydawnicze i drukarskie i uczył jak ich unikać, opowiadał o ludziach książki. Połknąłem bakcyli – albo właściwiej: Michał mnie tak namaścił i tak poszło; stałem się wydawcą.

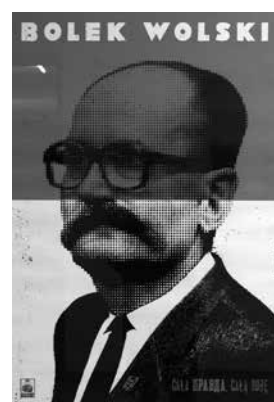
Zatem gdy przyszli do mojego biura państwo Bożena i Marek Chudobiński w 1993 r. z dużym rękopisem (maszynopisem) pracy ojca pani Bożeny, zastanawiałem się, jak to możliwe, że władze Łodzi od lat nie mogły wydać tak ważnej książki. Może w PRL cenzura nie puściłaby informacji, że ci krwio pijcy fabrykanci łódzcy fundowali orkiestry, zakładali chóry, budowali teatry i filharmonie, organizowali robotnikom koncerty, kupowali instrumenty itd. Obejrzałem opasy w zielonej oprawie tom pracy doktorskiej z 1972 r., zapoznałem się z biografią autora, wielkiego solidnego badacza i wybitnego człowieka, ogromem pracy i wyraziłem zainteresowanie wydaniem książki. Autor opisał dzieje ludzi, miejsc i zdarzeń: od robotnika do fabrykanta, od altany do opery, od małego recitalu szkolnego do koncertów w Łodzi Orkiestry Filharmonii Warszawskiej pod dyrekcją Emila Młynarskiego. Na szczęście praca A. Pellowskiego została – za przykazaniem Michała Kuny, zastrzeżona i złożona w depozycie i nikt jej nie mógł kopiować, przepisywać, mówić wprost – nie rozdrapali jej! Zapytałem jeszcze panią Pel-

Plakaty Wojciecha Korkucia

Powstała nie tak dawno w Łodzi, a stawiająca sobie za cel propagowanie tożsamości obywatelskiej, Fundacja im. Stanisława Pomian-Srzednickiego zorganizowała w Galerii „Na piętrze” Stowarzyszenia Polskich Artystów Plastyków w Łodzi, wystawę około 40 plakatów Wojciecha Korkucia.

Ten cieszący się sporym uznaniem już nie tylko w naszym kraju artysta jest absolwentem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, wychowankiem prof. Mieczysława Wasilewskiego. Jego twórczość wykazuje związki z tradycją polskiej szkoły plakatu, otwartej na estetykę malarstwa, fotografii i podchwytywającej nierzadko tematykę aktualną. Korkuć jednak ów historyczny fenomen artystyczny redefiniuje, zastępując cechy usługowo-propagandowe nakierowane na afirmację rzeczywistości czasów PRL-owskich wartościami patriotycznymi, bliskimi obozowi niepodległościowemu.

Artysta projektuje przede wszystkim ostre w wymowie plakaty polityczne, które nie powstają na żadne zamówienie, a są jedynie wyrażeniem autorskich przekonań. Tu wymienić można słynne już i pokazane również w Łodzi prace: *Achtung Russia* (ze skrzyżowanymi piszczałkami i głową Putina zamiast czaszki) oraz *Reparationen machen frei* (trawestacja napisu na przedstawionej bramie obozu koncentracyjnego



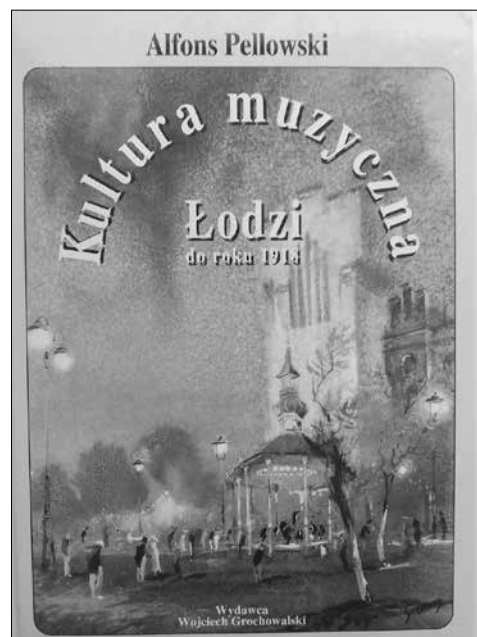
w Oświęcimiu). Za bezkompromisowy przekaz publicystyczny uznać też można graficzne ilustracje takich haseł, jak „III RP śmierdzi od głowy” (z głową ryby wystającą z togi sędziowskiej), „Resortowe kundle – do budy!” (wizerunek kundelka i budy właśnie), czy

też „Bolek Wolski” (tu mamy do czynienia z kopolacją podobizn Wałęsy i Jaruzelskiego).

Inną grupę stanowią plakaty dotyczące ważnych postaci historycznych (Piłsudski, Hubal, Fiedorf „Nil”, Kukliński) i wydarzeń (napaść ZSRR na Polskę w roku 1939, ludobójstwo na Wołyniu, Powstanie Warszawskie, katastrofa smoleńska).

Wszystkie te plakaty, będące wyrazistymi komunikatami o niewątpliwych walorach plastycznych, mają dużą siłę oddziaływania zarówno na świadomość, jak i emocje. Nie pozostawiają więc adresatów – czyli nas wszystkich – obojętnymi.

Janusz Janyst



łowską, czego oczekują. Jak pamiętam, chyba najbardziej aby książka się ukazała; powiedziałem, że ją wydaję i w grudniu 1994 roku była gotowa.

Przed rozpoczęciem pracy, pierwsze kroki skierowałem po konsultacje do kolegów bibliofilów: czy moja wizja wydawnicza jest właściwa, co ze zdjęciami, jaką dać oprawę, itd., itd. Tu przypomina mi się „Piosenka o krawcu” autorstwa Ref-Rena, co prawda krawiec z Białegostoku, nie z Łodzi, ale Dawid Rozenblat:

(...) No a frak wziąć do roboty, to jest przecież trzysta złotych,

To musi być uszyte, to już nie jest byle lach (...)

No właśnie, „szyliśmy igłą i sercem” i udało nam się. Jurek podjął się redakcji tomu, dobrał zdjęcia, opracował przypisy, „dopilnował”

obszernego indeksu nazwisk, streszczeń w jęz. ang. i niem. Opracowanie graficzne zleciłem znakomitemu grafikowi Zbigniewowi Koszałkowskiemu, dał na okładkę obraz również znakomitego malarza Jerzego Rene-Groszanga „Park Źródlika”. W altanie fabrykanci organizowali otwarte koncerty – i taki widać na obrazie.

Nie brzmi to skromnie, ale książka ta jest moją dumą i radością także z tego powodu, że ta ogromna i ważna praca p. Pellowskiego jest już dostępna dla każdego. Korzystam z niej regularnie w mojej pracy dziennikarskiej i wydawniczej; czasami szukam czegoś... i nagle ołśnienie: przecież to pewnie jest u Pellowskiego! Otwieram... i jest!

Wojciech Stanisław Grochowski, wydawca

Piotr Szubarczyk

Biuro Edukacji Narodowej IPN Gdańsk

Straty nie policzone lub źle policzone

Ilu obywateli Rzeczypospolitej Polskiej zginęło w czasie II wojny światowej?

Pytanie zasadnicze, może najważniejsze ze wszystkich polskich pytań dotyczących wojny: ilu Polaków zginęło na wojnie? Jakie nieodwracalne straty ludzkie poniosła Rzeczpospolita Polska w wyniku agresji Niemiec i Związku Sowieckiego na nasz kraj oraz w wyniku wieloletnich następstw tej agresji? Chodzi o poległych w walkach na wszystkich frontach, o zamordowanych – w ramach polityki eksterminacyjnej obywateli okupantów, o ludzi celowo przywiezionych do śmierci, przez stworzenie im nieludzkich warunków pracy i pobytu – w obozach niemieckich, w sowieckich łagrach, na sybirskim „osiedleniu”. Potencjał ludzki jest najważniejszym i najszlachetniejszym wśród wszystkich rodzajów narodowej energii, więc o rachunek strat trzeba się nieustannie upominać.

No bo przecież wszyscy wiemy...

Stawianie takich pytań wywołuje najczęściej zdumienie słuchacza. Przecież każdy Polak już od szkoły podstawowej wie, że na wojnie zginęło 6 mln Polaków... To narodowy kanon...

Pierwsza wątpliwość dotyczy poprawności pytania *Ilu Polaków zginęło na wojnie...* Przecież na wojnie ginęli obywatele Rzeczypospolitej nie tylko narodowości polskiej, ale także nasi współobywatele: Żydzi zamęczeni w ramach niemieckiego ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej; Ukraińcy i Ukrainki, zamęczeni za to, że mieli polską żonę, polskiego męża i dzieci, w których żyłach płynęła polska krew; Białorusini zabijani zarówno przez Gestapo, jak i NKWD za wspieranie polskiego ruchu partyzanckiego. Wszyscy ci, którzy byli lojalni wobec Polski, swojego państwa – choć Polakami z urodzenia nie byli.

Berman dokładnie ustalił...

Postawmy inne pytanie: *Ilu Brytyjczyków zginęło w wyniku II wojny światowej?* Odpowiedź na nie została już dawno opracowana i naukowo zweryfikowana z dokładnością do tysiąca osób: na wojnie zginęło 357.000 Brytyjczyków.

Wracamy do pierwszego pytania: Ilu obywateli Rzeczypospolitej Polskiej zginęło podczas II wojny światowej? To było kiedyś – tak nam się wydawało – bardzo łatwe pytanie, na które każde dziecko w Polsce potrafiło odpowiedzieć bez namysłu. Liczbę 6 mln ludzi przytaczano w książkach, w filmach i w mediach tysiące razy. Pojawia się ona w przemówieniach Bolesława Bieruty czy Władysława Gomułki, ale i w homilii Jana Pawła II. Historycy czasów PRL potrafili udzielić jeszcze bardziej precyzyjnej odpowiedzi: 6 mln 28 tysięcy, więc także z dokładnością do tysiąca...

Wątpliwości budzi jednak „metodyka” tych ustaleń. **Ustalić liczbę zabitych na 6 mln ludzi!** Tak brzmiała dyrektywa **Jakuba Bermana**, w latach 1944-1956 członka Politiura PPR, następnie PZPR, później wicepremiera rządu PRL, człowieka uznanego za jednego z trzech wielkorządców sowieckiej Polski w pierwszej dekadzie po wojnie – obok Bolesława Bieruty i Hilarego Minca. Najważniejszego, bo nadzorował bezpieczeństwo i cenzurę – dwa fundamenty państwa typu sowieckiego.

W zgodzie z dyrektywą Bermana, Biuro Odszkodowań Wojennych przy Prezydium Rady Ministrów podało w roku 1947, w *Sprawozdaniu w przedmiocie strat i szkód wojennych Polski w latach 1939-1945*, że Polska straciła w wyniku wojny wspomniane 6 mln 28 tys. obywateli, w tym 3 mln obywateli narodowości żydowskiej.

Świątkowski liczy tylko ofiary niemieckie

Oczywiście, dyrektywa Bermana miała jakieś mgliste podstawy, skoro pierwsza powojenna próba bilansu strat nastąpiła jeszcze w roku 1945. Minister sprawiedliwości tzw. Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej **Henryk Świątkowski**, pismem z 29 sierpnia 1945 r. polecił kierownikom sądów grodzkich w całym kraju zebranie zbiorczych danych o obozach niemieckich, w których zginęli mieszkańcy poszczególnych powiatów, o masowych egzekucjach i masowych grobach na terenie powiatu. Do pisma załączono wzór kwestionariusza, za którego wypełnienie odpowiedzialni byli burmistrzowie i wójtowie. Mieli też podejmować decyzje, co do ekshumacji na swoim terenie.

Niestety, dane z tych kwestionariuszy były ogólnikowe i niepełne, mimo bliskości w czasie wojennych wydarzeń i żyjących świadków. Nosiły piętno niechcianej pracy administracyjnej lub może raczej

pracy niemożliwej do wykonania w krótkim czasie, z powodu ówczesnych braków kadrowych. Widzimy to na przykładzie Starogardu na Pomorzu (dziś Starogardu Gdańskiego). Burmistrz miasta **Antoni Gronowski** pisze w kwestionariuszu o *około 40 Żydach i około 150 Polakach*, którzy zginęli z rąk Niemców w okresie od 2 września 1939 r. do 1 grudnia 1940 r. Odpowiedź myląca, niepełna, o czym dziś już wiemy. Burmistrz pisze w kwestionariuszu tylko o tych, o których go pytają, a pytają tylko o ofiary **niemieckich** represji i obozów! Nie może więc pisać, że w Katyniu zginął – w czasie, który obejmuje jego dane – znany mu syn dyrektora starogardzkiego gimnazjum i kilkunastu innych mieszkańców miasta. Nie pisze o ponad 500 młodych starogardzianach, którzy zginęli na wojnie wcieleni przymusowo do Wehrmachtu. Zresztą, sam burmistrz nie wie wtedy, ilu ich zginęło, ustali to kilkadziesiąt lat później historyk prof. **Włodzimierz Jastrzębski**.

Problem bilansu polskich strat wojennych polegał od początku na tym, że kiedy można je było ustalić w miarę precyzyjnie, bo żyli świadkowie, nie było ku temu warunków politycznych. Statystyka, tak jak w każdym państwie typu sowieckiego, służyła najpierw propagandzie, dopiero potem nauce. Kiedy po roku 1989 nastały warunki ku temu, by dokładny bilans ofiar wojny przeprowadzić, zabrakło żywych świadków, a dokumenty są niekompletne, wiele jest ciągle niedostępnych, zwłaszcza z archiwów sowieckich.

Śledztwo 20 lat po wojnie...

W roku 1967, ponad 20 lat po wojnie [!], prokuratorzy wojewódzcy w całym kraju rozpoczęli śledztwa w sprawie morderstw dokonanych przez Niemców w latach 1939-1945 na osobach narodowości polskiej i innych obywatelach RP. Akta spraw karnych zawierają zbiorcze dane, w większej części tylko szacunkowe, dotyczące skutków niemieckiej polityki. O ofiarach polityki sowieckiej nie można było w dalszym ciągu mówić ani nie można było tych ofiar liczyć. 20 lat po tym śledztwie, w roku 1987, Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce wydała ogólnopolski *Rejestr miejsc i faktów zbrodni popełnionych przez okupanta hitlerowskiego na ziemiach polskich w latach 1939-1945*.

Minęło następne ponad 20 lat i zaczęto liczyć polskie ofiary wojny od początku. Była okrągła, 70 rocznica wybuchu II wojny światowej, a my zawsze się mobilizujemy na rocznice. Poza tym pojawiały się głosy historyków, podważające „kanoniczną” liczbę Bermana. Zmarły w 2008 roku prof. **Paweł Wieczorkiewicz**, znawca stosunków polsko-rosyjskich i polsko-sowieckich, autor *Historii politycznej Polski 1935-1945*, mówił o niedoszacowaniu wojennych strat ludzkich Polski. On sam szacował je na 8,5 mln poległych lub zamordowanych, lub przywiezionych do śmierci w inny sposób.

Takie szacunki jak Wieczorkiewicza musiały się w końcu pojawić. Przecież 14 lutego 1946 r. pierwszy po wojnie spis powszechny w Polsce ustalił liczbę mieszkańców kraju na 23 mln 930 tys. A przecież dane statystyczne za rok 1938 podawały 34 mln 849 tys. mieszkańców II RP. Różnica 11 mln! Pole do interpretacji olbrzymie, trzeba uwzględnić największe w dziejach Polski migracje z ziem utraconych na ziemię pozyskane, śmierć w mundurze polskim, ale także w mundurze sowieckim i w mundurze Wehrmachtu, zamordowanych przez Niemców i przez sowieców, przywiezionych do śmierci na skutek uwięzienia, deportowania, głodu i nieludzkiej, wyniszczającej pracy – zarówno w obozach niemieckich, jak i w sowieckich łagrach.

Prof. Włodzimierz Jastrzębski, doświadczony badacz wojennej historii Pomorza napisał, że badania analityczne nad stratami ludnościowymi Pomorza, poniesionymi w latach 1939-1945, są już daleko zaawansowane. Najbardziej szokujące jest to „już”, pisane 70 lat od wybuchu wojny!

Trzeba liczyć od nowa

Konieczne jest dokonanie na nowo bilansu strat osobowych, jakie poniosła Rzeczpospolita Polska podczas II wojny światowej. Nawet jeśli to będą tylko szacunki – ale szacunki oparte na przesłankach naukowych, wynikające z badań a nie z zapotrzebowania propagandowego.

Liczba obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, poległych w walce lub pozbawionych życia przez okupantów podczas II wojny światowej, była

przedmiotem rocznicowej (70-lecie wybuchu II wojny światowej) publikacji IPN: *Polska 1939-1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami*. Szczególną wagę do tej publikacji przykładają śp. Prezes IPN **Janusz Kurtyka**, współautor wstępu do książki, w którym podkreślał, że o ile liczba obywateli RP zamordowanych lub przywiezionych do śmierci w różny sposób przez Niemców jest znana (mieści się w przedziale od 5.450 do 5.550 tys. ludzi), o tyle liczba tych, którzy zginęli z winy Związku Sowieckiego jest ciągle nieznaną.

Nad stratami polskimi pod okupacją sowiecką pracuje od wielu lat Ośrodek Karta, publikujący pożyteczny, ale niekompletny *Indeks represjonowanych* – wielotomowe dzieło, w którym znajdujemy zidentyfikowane miejsca cierpienia i śmierci obywateli polskich, rozrzucone na utraconych Kresach i na „nieludzkiej ziemi” jak nazwał Sowiety czasu wojny wybitny polski pisarz i malarz **Józef Czapski**.

W obronie zaginionych krzyży...

O tym, jak bolesne mogą być liczby, świadczy nieustający protest polskich sybiraków, po opublikowaniu przez IPN i Kartę ustaleń opartych na archiwaliach sowieckich (kompletnych?), kwestionujących podawane liczby zesłanych w głąb Związku Sowieckiego podczas deportacji od 10 lutego 1940 r. do czerwca 1941 r. oraz pod koniec wojny i w pierwszych latach po jej zakończeniu. Najgłośniejszym wyrazem tego sprzeciwu jest książka sybiraka ś.p. **Stanisława Rymaszewskiego** *W obronie zaginionych krzyży*.

41 mln 979 tys.!

Polska ciemna liczba strat pod okupacją sowiecką bierze się z ciemnej liczby wojennych strat osobowych Związku Sowieckiego. Podkreśli raz jeszcze, że w kraju realnego komunizmu statystyka nie służyła informacji i nauce, lecz propagandzie. Niestety, współczesna Rosja przyjęła w dużej mierze tę „metodykę”. Tuż po wojnie Stalin „zadekretował” śmierć 7 mln „ludzi radzieckich” w „wojnie ojczyznianej” z „faszystowskimi bestiami”. Potem było 10 mln, potem 12 mln. Jako uczeń dowiedziałem się, że 20 mln. Jako student przeczytałem, że 22 mln. Nagle pojawiło się 27 mln. Myślałem, że to już koniec. Ale w 2017 r. na „dzień победы”, czyli 9 maja, Rosja ogłosiła, że Związek Sowiecki stracił w wyniku II wojny światowej 41 mln 979 tys. ludzi!

Ta liczba jest absurdalna! Nawet przy stalinowskim braku szacunku dla życia człowieka (Przypisuje się Stalinowi słowa: *U nas mnogo ludiej...*) jest nierealna jako liczba ofiar wojny.

Kiedyś trzeba było powiedzieć...

Należy się domyślać, że Rosja, na początku XXI wieku [!], dokonała statystycznej „reassumpcji” swoich strat ludzkich w okresie nie tylko wojny z Niemcami Hitlera, ale i zbrodni państwa sowieckiego na własnych obywatelach! Szczególnie w okresie „wielkiej czystki”. Wśród nich było kilkaset tysięcy obywateli sowieckich narodowości polskiej. Prof. **Andrzej Nowak** z Uniwersytetu Jagiellońskiego nazwał to *polskim holokaustem*.

Prof. **Natalia Lebediewa** mówi, że tylko w latach 1937-1941 sowieckie państwo Stalina zabiło 11 mln własnych obywateli! Jak pogodzić te wszystkie liczby? Czy tych stalinowskich ofiar nie przypisano dziś wojnie?! To pytanie retoryczne...

Podmiana ofiar...

Ale są jeszcze inne, dla nas ważne. Na przykład: Czy polscy więźniowie polityczni, gnani pod koniec czerwca 1941 r. z więzienia w Mińsku do Czerwieni (Ihumenia) i zabijani tysiącami po drodze (razem z więźniami innych narodowości około 7 tysięcy zamordowanych) są w rosyjskich statystykach polskimi czy sowieckimi ofiarami wojny? Są sowieckimi ofiarami, bo ich na jesieni 1939 „spaszportyzowano”...

Sowieci mordowali Polaków, licząc je potem jako „radzieckie” ofiary Hitlera!

Kiedy w roku 1997 ukazała się w Paryżu *Czarna księga komunizmu*, wkrótce przetłumaczona na język polski i wydana u nas w 1999, rozpętało się na Zachodzie piekło, wywołane m.in. przedmową prof. **Stéphane Courtoisa**, w którym francuski historyk widzi komunizm jako największe zło XX wieku. *Komunizm nie tylko istniał przed*

powstaniem faszystów i nazizmu, ale również je przetrwał, dotykając czterech wielkich kontynentów – pisał profesor. Także rachunek ofiar nie pozostawia wątpliwości. Odezwali się obrońcy komunizmu na Zachodzie, potępiający „radikalizm” i „ahistoryzm” prof. Courtoisa. Także polskie wydanie opatrzone wstępem prof. **Krystyny Kersten**, która dogadzała mentalności postsowieckiej, pisząc: *Dokonując bilansu <zbrodni komunistycznych> Courtois wymienia jednym tchem <masakry zbuntowanych robotników i chłopów w latach 1918-1922> w ZSRR i klęski głodu [?]. Przy takim podejściu zacierają się wyjątkowość zbrodni najpotworniejszych [?]. W rejestrze zbrodni, będących dziełem rządów komunistycznych, Kambodży Czerwonych Khmerów nie wyłączając, nie znajdziemy takiej, którą można byłoby porównać z holokaustem...*

Prof. Kersten tego nie napisała, ale nie ma wątpliwości, że przy takiej optyce, zbrodni katyńskiej czy czerwieńskiej też by nie zaliczyła do „najpotworniejszych”, skoro takimi nie były sowieckie zbrodnie zaplanowanego głodu na żywej Ukrainie, gdzie w roku 1932 matki zabijały małe dzieci, by ich ciałami nakarmić starsze, jeszcze snujące się po wsi wymiecionej z wszelkiej żywności przez bandy bolszewickich aktywistów. Nie ma gradacji zbrodni na potworne, potworniejsze i najpotworniejsze. Bez względu na to, jakie są poglądy polityczne i upodobania ideologiczne oraz narodowość autora!

The soviet story

Wielkim zainteresowaniem internautów cieszy się film dokumentalny *The soviet story*. Polecam go zawsze moim słuchaczom. Prace nad filmem trwały ponad 10 lat. Został zrealizowany przez **Edvina Snore** – łotewskiego politologa, który jest również autorem scenariusza. W dniu premiery filmu w Brukseli (2008) rosyjska „Prawda” nazwała go *próbą przepisywania historii przez Europę*. Kremlowski historyk **Aleksandr Djukow** nawoływał, by ukarać jego kolegów, którzy pomogli w realizacji filmu, wypowiadając się przed kamerą!

Przed dziś profesorowie Natalia Lebediewa i **Siergiej Słucz** jeszcze nie siedzą w łagrze, to mimo wszystko jest w Rosji jakiś postęp...

Zastępca dyrektora generalnego „centrum politycznych technologii” **Siergiej Michejew** powiedział, że film *The soviet story to próba przepisywania historii przez kraje europejskie. Przynajmniej w czasach drugiej wojny światowej rola ZSRS była jednoznacznie pozytywna [!]. Gdyby nie ofiary, które złożył Związek Radziecki, Europa – podobnie jak USA – nie istniałaby w swojej obecnej formie*. Ani słowa o tajnych układach z Hitlerem i o współodpowiedzialności za wojnę!

„Polityka historyczna” Rosji

Rzuca ona snop światła także na bilans wojennych strat osobowych nieodgadnionego i nieopisanego w swej ludobójczej polityce Związku Sowieckiego. Z tych problemów sowieckich wynikają bezpośrednie polskie problemy w dociekaniu prawdy. Pora najwyższa, by postawić sprawę na nowo, rozpoczynając od weryfikacji elementarnych ustaleń, niekwestionowanych przez lata i opieczetowanych przez komunistyczną cenzurę. Szkoda, że tak późno.

Na tym tle nasze starania o uznanie zbrodni katyńskiej za zbrodnię ludobójstwa nie dotyczą tylko tej zbrodni i nie są bynajmniej przejawem polskiego uporu oraz *niedocenia* dobrej woli naszych rosyjskich partnerów – jak się to jeszcze niedawno „poprawnie” ujmowało. Katyń jest puszką Pandory, która się otwiera nie tylko na tę zbrodnię, ale na całą sekwencję zbrodni sowieckich na Polakach i innych narodach. Domagając się prawdy o zbrodni katyńskiej i właściwej jej kwalifikacji, domagamy się całej prawdy o systemie sowieckim i właściwej kwalifikacji wszystkich jego zbrodni, bez względu na narodowość ofiar.

Piotr Szubarczyk jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej Oddziału Gdańskiego IPN, autorem książek (*m.in.* „Czerwona apokalipsa. Agresja Związku Sowieckiego na Polskę i jej konsekwencje”, Kraków 2014) oraz ponad 400 artykułów popularnonaukowych. Artykuł jest poszerzeniem referatu, wygłoszonego na konferencji naukowej w Ostrołęce, zorganizowanej przez Polskie Stowarzyszenie Morskie-Gospodarcze im. Eugeniusza Kwiatkowskiego. ■



Powrót młodych talentów

4. edycja projektu muzycznego

Santander Orchestra
Lawrence Foster – dyrygent
Łukasz Krupiński – solista

26.03.2018 r.

Filharmonia Narodowa w Warszawie

27.03.2018 r.

Aula Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

28.03.2018 r.

Filharmonia Łódzka im. Artura Rubinsteina

Zygmunt Noskowski *Step*, op. 66

Ignacy Jan Paderewski *Fantazja polska*, op. 19

Piotr Czajkowski *III Symfonia D-dur „Polska”*, op. 29

Bank Zachodni WBK
Grupa Santander

MYWAY
fundacja młodych talentów


EUROPEJSKIE CENTRUM MUZYKI
KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

santanderorchestra.com

22
WIELKANOCNY
FESTIWAL
LUDWIGA VAN
BEETHOVENA

WARSZAWA
16-30 MARCA 2018



Prawdziwa cnota krytyk się nie boi • There's no business like show business – jak mówią Amerykanie

Normalny biskup

Pojawienie się w Łodzi w listopadzie 2017 r. nowego metropolity łódzkiego ks. abpa Grzegorza Rysia (mianowanego przez papieża Franciszka), wywołało spore zainteresowanie w bardzo różnych kręgach, także tych pozakościelnych. Znalazłem i taką oto informację w lokalnej prasie („Kalejdoskop”, strona internetowa XI 2017), że wreszcie jest w Łodzi normalny biskup. Od razu przeleciały mi przed oczyma portrety i nazwiska tych wielkich wcześniejszych biskupów i arcybiskupów... Boże Drogi... Zachodzę w głowę, na czym polega normalność albo nienormalność biskupów katolickich wielowyznaniowej Łodzi – jak określa się to miasteczko? Może Czytelnicy wiedzą?

Nowemu arcybiskupowi Łodzi Piotrowej życzymy wiele dobrego, wszelkich Łask Bożych.

Poniżej zdjęcie (kadr) z wizyty abpa Rysia w Teatrze Nowym, w miłej pogawędce z aktorami i dyrekcją teatru. Ciekawe, czy „święte obrazy” otrzymane od abpa wpłyną na ich poprawę...



Fot. pofoto.pl / www.facebook.com

Popraw się przed Panem

Napis taki widnieje na owalu lustra wiszącego w kruchcie jednego z łódzkich kościołów. Ciekawe, czy młode parafianki przeglądając się, pytają Pana albo lustreczka: Powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie?

Też się poprawiłem w tym kościele – ale w innym sensie.



Ktoś przysłał kiedyś do redakcji takie oto zdjęcie, zawieruszyło się i nagle odnalazło. Było to kilka lat temu, do zdjęcia załączono pytanie (właściwie testowano nas): ciekawe czy pan redaktor jest taki odważny faktycznie czy tylko wybiórczo i czy wydrukuje to zdjęcie? Nadawca nie podał ani autora tego montażu, ani osób na zdjęciu – te akurat rozpoznałem – ani swojego nazwiska.

A niech! Jakby powiedział Marszałek Józef Piłsudski – rzekłem i oto drukuję foto polityków partii Platforma Obywatelska w kostiumach bolszewików. Bo politycy lubią się przebierać, stroić w piórka, zmieniać szaty. Od lewej stoją: Grzegorz Schetyna, Stefan Niesiołowski, Radosław Sikorski, Vincent Rostowski, Donald Tusk, Janusz Palikot, Hanna Gronkiewicz-Waltz, Bronisław Komorowski; stara gwardia! Niektórzy znów zmienili patię.

O krawcu Rozenblacie

Feliks Konarski „Ref-Ren” napisał piękną i mądrą piosenkę o przedwojennym krawcu Rozenblacie z Białegostoku, co szył fraki, a to było już wyższą sztuką. Robił to z sercem – jak trzeba wszystko w życiu robić! Oto fragment tej pięknej piosenki:

*A kiedyś w Białymstoku, przynajmniej raz do roku,
Przychodził jakiś hrabia, ktoś ze sfery, co miał smak,
Przychodził ktoś ze świata, do Dawida Rozenblata,
I powiedział: panie Dawid rób pan frak!
Noooo, a frak wziąć do roboty, to jest przecie trzysta złotych,
To musi być uszyte, to już nie jest byle łach,*

*Materiał ma być prima, inaczej fraka ni ma,
I każdy kto zobaczy, musi krzyknąć: ach!
Ref. Ach, panie Dawid, jak pan to robi,*

*że to ma taki szyk,
Ach, panie Dawid, to przecie jest, prawdziwy
majstersztyk!*

*Ach, panie Dawid!... Same zachwyty się słyszało,
że aż miło było żyć,
A to nie są żadne cuda, każdy z frak się musi udać,
Gdy prócz igły go się sercem będzie żyć. (...)*

Piosenka ukazała się na płycie CD, wydanej w 2000 roku w Chicago, z piosenkami Ref-Rena w wykonaniu Liliany Para-Piekarskiej i Andrzeja Piekarskiego.

Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina

Przebój zespołu Bayer Ful – zespół miał zrobić karierę w Chinach ale chyba nie wyszło, bo szybko wrócili, może Chińczycy nie zrozumieli tłumaczenia? Może nie chcą być jedną rodziną, w sumie taki bogaty Hong Kong czy Tajwan może nie chce poszerzać zbytnio rodziny.

No ale jesteśmy w Polsce, mamy swoje rodziny i sprawy, no to jedziemy:
*Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina,
Starszy czy młodszy, chłopak, czy dziewczyna,
Hej hej, bawmy się, hej hej śmiejmy się,
A rano, kiedy Słońce jeszcze śpi,
to wtedy zaśpiewamy ja i ty:
Bo wszyscy Polacy (...)* itd.
*A kiedy, a kiedy, z Polski wyjedziesz nawet gdzieś,
to po latach znów spotkamy się,
Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina (itd.).*

No, czyż nie piękne? Proste. Ale pewne fragmenty są niejasne, no i trochę nieaktualne, bo w obecnym czasie, gdy do Polski przybyło 2 mln Ukraińców, pewnie kilkaset tysięcy muzułmanów (jak widać na ulicach – mimo że rząd mówi że ich nie ma; nie widzą czy co?), jest parę milionów innych starych mniejszości – trudno aby byli ci Polacy jedną rodziną.

W telewizji pokazali, jak jeden barczysty pan z Łodzi (ksywa Farmazon, m.in. ochraniarz

prezydent Łodzi H. Zdanowskiej) powiedział do skromniutkiej i malutkiej postury dziewczyny – pani dziennikarki z telewizji, że on bardziej szanuje k... spod latarni, niż ją! – znaczy tę dziennikarkę. A potem drugi pan, jego kolega, mniej barczysty ale również niemiły, powiedział jej, że „nie ma ochoty aby się z nią szanował”. Bo „napadnięta” przez nich pani z TV powiedziała, że jako ludzie powinniśmy się szanować. Zatem czy Farmazon zaśpiewa z tą panią – w sumie przemilą, ładną dziewczyną:
*Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina,
Starszy czy młodszy, chłopak, czy dziewczyna?*

Chyba nie. Trzeba więc zmienić ten akapit w tekst piosenki. Możliwe jest też, że Farmazon zna język czeski, tam dziewczyna tłumaczy się jako divka.

Pewnie pani z TV nie wiedziała prosząc o poszanowanie, że miano ludzkie, człowiek, ma różne konotacje, swoje znaczenie i prawa, np. w subkulturach – do których ta miła pani chyba nie należy. Taki człowiek (ludzie) to jest ktoś! Trzeba mieć tatuaż, cyngwajster, potrafić puścić – za przeproszeniem – wiązkę, itd. To proszę pani, nie każdy może tak sobie, ot, z ulicy podejść do ludzi i mówić: szanujemy się!

Hemar o poczuciu humoru

Jest piękny wiersz Mariana Hemara *Sense of humour* czyli w tłumaczeniu na jęz. polski – *Poczucie humoru*. Oto jego fragment:

*Lubimy stwierdzać z dumą
I zgadzać się, bez sporu,
Że sprawdzianem kultury
Jest poczucie humoru.*

*I że my – jak nikt inny,
Od wieków, od Reja przecie –
Naszym poczuciem humoru
Przodujemy na świecie. (...)*

*Jesteśmy drwici, kpiarscy,
Kawalerscy, złośliwi,
Z natury ostrzy, cięci,
Dowcipni i żartobliwi.*

*W docinkach, fraszkach, żartach,
Bon-motach iście paryskich,
Jak nikt inny umiemy
Drwić z wszystkich i z wszystkich.*

*Umiemy kpić z Anglików,
Z Moskali i ze Szwabów,
Z Litwinów, Ukraińców,
Z Czechów, z Żydów, z Arabów.*

*Z wad, cnót, zalet, zwyczajów,
Z języka i z ubioru –
Kto by się na nas obraził
Nie ma poczucia humoru.*

*Tylko – niech Pan Bóg broni,
By ktokolwiek na świecie,
Żartem, fraszką, uwagą,
Słówkiem – maczkiem w gazecie,*

*Nas wykpił, z nas zażartował,
Nas tknął – pomyśleć groza!
Już poczucie humoru
Stula się jak mimoza.*

*Już uśmiech z warg nam ucieka,
Już gniew nas trzęsie srogi,
Już pierś wzbiera rozkoszą
Strasznej martyrologii!*

*Już krew oczy zalewa,
Rycerska dłoń już na kordzie!
Nasze poczucie humoru
Już każe „walić po mordzie”. (...)*

PS. Mam nadzieję, że Farmazon (ten z tekstu obok) i jego koleżka mają poczucie humoru...

A swoją drogą, jak się nie śmiać, gdy u naszych braci Czechów tytuł opery Mozarta *Zaczarowany flet* to *Zahlastana fifulka*, albo tłumaczenie: Jestem Batman – u nich brzmi: Ja sem Netoperek. Nie wspomnę o Andrzeju Rosiewicz, który śpiewał, że gdyby wydał się za Czeszkę, umarłby ze śmiechu...

Sylwester Zakopane 2017 Auf Wiedersehen

Jakież szal medialny rozkręcił prezes TVP Jacek Kurski przed zabawą sylwestrową z TVP, korzystając zapewne z chwili nieuwagi Prezesa Jarosława Kaczyńskiego (dalej duży Prezes). Reklamował mocno pewnego wytatuowanego przystojnego Latynosa o miliardowych ponoć oglądalnościach w internecie, nie wiem czy ta wielka popularność była przed, czy po emisji jego spotów w TVP. Zaprosił go do zaśpiewania na sylwestrze 2017 – obok Zenka Martyniuka, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze. Ów „miliarder” (Latynos – nie nasz Zenek) nakręcił – i emitowano mu w TVP tygodniami, pewnie za darmo – spot reklamowy zapraszający do Zakopanego, kończący się słowami: „Auf Wiedersehen in Zakopane!”. Ciekawe co na to nie tylko duży Prezes ale i patriotyczni Górale? Szanuj ich patriotyzm. Jak obcy budowali bar MacDonalds na Krupówkach, protestowali mówiąc: że po ich trupach będzie w mieście taki bar! Albo zostaną tu oscypki! – albo będą hamburgery z ciupagą w plecach. Ale widzę, że obok restauracji Morskie Oko, McDonald's na Krupówkach jednak jest...!

Dla spokoju i bezpieczeństwa nie wchodzę tam.

Mam nadzieję, że Latynos nie prowokował tym niemieckim pozdrowieniem i nie chciał im przypomnieć Goralenvolk z 1939 roku.

Auf Wiedesehen!

Stronę satyryczną opracował Wojciech Stanisław Grochowski